

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Julia Terpiłowska.

PRYZYSTAŃ.

(Ciąg dalszy).

Zygmunt odpowiedział:

— To też wniosek powinien być bardzo prosty: ponieważ narzeczona była trochę za swobodną w obejściu z mężczyznami, a narzeczony trochę zbyt zazdrosny, więc poróżnili się z sobą o to, co świat toleruje pod nazwą flirtu. I właściwie, pan sam idziesz za daleko w swoich domysłach, jeżeli przypuszczasz, że w tem, coś podpatrywał i podsłuchiwał, było coś więcej, niż flirt. Uprzejmie pana proszę, panie Grüber, abys zechciał do brzo zatrzymać w pamięci wszystko, cokolwiek powiedziałem!

Skinął mu sztywnie głową i wyszedł z framugi, a w kwadrans później pukał do drzwi Mewy.

— Proszę! — odpowiedziało z wewnątrz.

Zygmunt wszedł do małego saloniku, gdzie wszystko tchnęło wyrafinowanym smakiem jego mieszkanki.

Ściany były osłonięte białym muślinem, wymarszczonym na modro-zielonawym podwleczeniu w drobne fale, wśród których tu i ówdzie zwisały się na gibkich lodygach pęki wodnych lilii. Dziwaczne liście egzotycznych roślin pięły się u okien, rozścielały w żardinierach, wiły na etażerkach. Mebelki niskie, miękkie, przytulne, rozbiegały się kapryśnie po kwiecistym dywanie, a na stolikach i biurkach o fantastycznych kształtach, pstrzyło się mnóstwo wytwornych drobiazgów.

Na kozetce, wysuniętej trochę ku środkowi pokoju, spoczywała Mewa. Długa, faldzi-

sta bluza Watteau z miękkiego jedwabiu spływała na dywan szeroką falą koloru różowego koralu, zatrzymując się w jednym miejscu na spiczastym nosku haftowanego złotem pantofelka. Jeden luźny rękaw osunął się aż za łokieć; z pod koronkowego podszycia świeci-

bok główka. Splątane w misternym nieładzie włosy opadały na skronie i ramiona, płonęły oczy i usta krasniały niby w gorączce, a lekka bladeść powlekała twarzyczkę zmęczoną i smutną. W tym niby negliżu, w tem niby zaniedbaniu, Mewa była tak śliczną, jak może nigdy jeszcze.

— Siadaj, Zygmunce! — rzekła do wchodzącego, głosem chorego dziecka. — Dziękuję ci, żeś przyszedł; jestem taka cierpiąca...

— W takim razie rozmowa cię zmęczy — rzekł chłodno, — więc może wolisz odłożyć ją na jutro?

— O! nie, nie! wolę dziś, wolę zaraz wypowiedzieć ci wszystko, co mi ciąży na sercu... Siadź-że, Zygmunce! moje słowa stygną, nim do ciebie doleją!

Wskazała mu krzeselko, stojące tuż przy kozetce; Zygmunt je odsunął dalej, siadł i milcząc, czekał, co powie.

— Zygmunce — szepnęła, — czyś ty nigdy nie zastanawiał się nad tem, jak daleko kobietę może zaprowadzić współczucie?

— Owszem — odparł, — widziałem moją babkę, opatrującą wstrętne rany.

— Bywają rany, których nikt nie opatruje, a dziwny przesąd zabrania dotknąć się do nich tym właśnie, które je mimowolnie zadały...

— Nie rozumiem tej metafory.

— Mówię o nieodwzajemnianem uczuciu. W chwili, w której mężczyzna zdradzi się z całą jego siłą i całym jego bólem, w kobiecem sercu budzi się instynkt litości — i stara się złagodzić ten ból chociaż braterskim tylko przywiązaniem... Rozumiesz mię teraz, Zygmunce?

— Rozumiem cię lepiej, niż ci się zdaje, Mewo.

— Nie wątpisz — spodziewam się — że to coś widział, było z mojej strony wyrazem współczucia jedynie?



J. E. ks. biskup Alexander Kazimierz Bereśniewicz.

Zm. dnia 4-go czerwca r. b.

ły alabastry ręki, opasanej złotą pęgą ulubionej bransolety z czarną kocia głową o wielkich, żółtych oczach z topazów wschodnich. Na tej ręce wspierała się przechylona na

— Przeciwnie; wątpię o tem najzupełniej.
 — Więc cóż przypuszczasz?...
 — Przypuszczam podniecenie nerwowe zupełnie innej natury.

— Jakto? więc posądzasz mię o wzajemność dla niego? Więc jesteś zdolnym przypuścić, że mogłabym przenieść nad ciebie tego... zagrodnika?!...

Usiadła na kozetce i z ładnym oburzeniem wstrząsała spletanemi nad czołem kędziurami. A Zygmunt odparł spokojnie:

— Nie, Mewo; znam cię już zbyt dobrze, abym przypuszczał, żeś zdolna przenieść Zieloną Zagrodę nad Nabrzeżany.

— Więc cóż myślisz?... — wyjąkała, zupełnie zbита z tropu.

— Myślę—odpowiedział z powagą,— że narzeczona, która w samotnej altanie wiesz się na ramieniu ładnego chłopca i wsuwa rękę w jego ręce — zdradza swego narzeczonego. I myślę, że jeżeli potem chce dowieść platonizmu tego porywu,— traci czas i wymowę nadaremnie.

Wstał, zdjął z palca pierścioneł, migoczący krwawym rubinem, i położył go przed nią na mozaikowym stolczku.

Mewa zerwała się na równe nogi.

— Jakto? — zawołała, — czy aż tak?... Zygmunce! nie kochasz mnie chyba?...

— Proszę cię, Mewo, nie zmuszaj mię do odpowiedzi, która przykrą jest każdej kobiecie.

— To nie może być!... nie może być!... — powtarzała zdyszany głoŝem. — Ty, ty, Zygmunce za taką bagatelę, miałbyś mię znienawidzić?...

— Nie, Mewo! nie czuję dla ciebie wcale nienawiści. Przeciwnie, mam nawet pewien rodzaj współczucia—i pozostanę nadal życzliwym ci krewnym.

Uklonił się, nie podając jej ręki—i wyszedł z pokoju.

W pół godziny potem, gdy Zygmunt jechał z matką do domu, pani Mimi, układając się na poduszkach powozu, rzekła do syna:

— Mój Musiu, co to zaszło między tobą a Mewą? Wszyscy mają tajemnicze miny. Wszelaczyńska szepce z Krzyskim, tylko ja o niczem nie wiem.

— Nikt ci nie opowiadał, mateczko?

— Owszem, Wszelaczyńska—ta kobieta nigdy mi nie daruje, że się lepiej od niej ubieram. Wszelaczyńska wystąpiła do mnie z kondolencją, dając mi do zrozumienia, że Mewa fatalnie się skompromitowała z tym tam Kalinieckim. Naturalnie, że ta kompromitacja, to inwencya Wszelaczyńskiej; jednakże cośkolwiek zająć musiało; opowiedz-że mi, co mianowicie, bo sama bardzo niewiele zauważyłam.

— Coś przecie zauważyłaś, mateczko?

— Przyznam ci się, że bardzo mało. Spacerowałam po alejach z Wielolęckiem i zagawędziliśmy się; widziałam tylko, żeś poszedł z Grüberem w głąb ogrodu szukać Mewy, i że Mewa przysłała w złym humorze, a potem zaraz dostała migreny. Trzeba być Wszelaczyńską, żeby się z tego domyślać fatalnej kompromitacji!

— Aż tak źle nie było, mateczko; było je-

dnak tyle, że się przekonał ostatecznie, do kąd dojść może kokieterya Mewy.

— Ach, mój Musiu, nie trzeba być purytaninem! Trochę kokieteryi nie umie nigdy powabu kobiecie.

— Dla mnie jednak ujęto go o tyle, że zwrócił Mewie pierścioneł.

— Jezus, Marya! co ty mówisz, Musiu?..

— Mateczko droga, różnie różni zapatrują się na rzeczy; ja nie mogę zenić się z osobą z charakterem Mewy.

— Ale cóż ona ci zrobiła?... Że trzpiotała się trochę z tym tam Kalinieckim, tego jej naturalnie nie chwale, bo to jest człowiek, który pomimo wszystkiego znajduje się po za sferą towarzyską; ale za taką rzecz wystarczyłoby zrobić jej scenkę.

— Sceny charakteru nie zmieniają; lepiej więc rozejść się, póki pora.

— Nie, Musiu! to być nie może! ja na to nigdy nie pozwolę! Jutro pojedę do Obrywina i załagodzę rzecz całą.

— Mam nadzieję, droga mammo, że nie rozporządzisz się moją osobą wbrew mojej woli?

— Owszem, rozporządzę się! jeżeli ty nie masz sensu, ja go mieć muszę za ciebie!

— Moja mammo, przepraszam cię bardzo, ale zmuszasz mnie do powiedzenia ci, że niema bozkiego, ani ludzkiego prawa, które obowiązywałoby mię do powodowania się twoją wolą w tym wypadku.

Pani Mimi nerwowym ruchem sięgnęła po chusteczkę, przygotowując atak spazmatyczny. Zygmunt zaczął ją całować po rękach.

— Mateczko droga! — prosił,— nie miej mi tego za złe. Wiesz, że zawsze i we wszystkim staram się dogodzić ci, ale tym razem żadną miarą nie mogę!

Pani Mimi szarpała chusteczkę, Zygmunt mówił dalej:

— Dlaczegoż zresztą miałoby ci tak bardzo zależeć na mojem małżeństwie z Mewą? Pamiętam, jak powiedziałaś tej samej pani Wszelaczyńskiej, gdy mi wieszowała świetnej partyi, że Mewa nie jest wcale nadzwyczajną partyą dla mnie.

— Wszelaczyńska chciała mnie ukłuć—jak zawsze — dlatego jej to powiedziałam. Zresztą, rzeczywiście nie uważam Mewy za świetną partyę dla ciebie: o stanie ich interesów różnie ludzie mówią; ale rzecz była oddawna ułożoną pomiędzy mną a Wielolęckiem, a teraz stawiasz mię względem niego w niemożliwej pozycji.

Zygmunt zrozumiał dopiero, o co tu głównie idzie, i rzekł uspakajająco:

— Mateczko droga, wszak nie możesz być odpowiedzialną za postęпки pełnoletniego syna, i łatwo wytłómaczysz wujowi Wielolęckiemu, że nie było tu najmniejszej winy z twojej strony. A wuj nie weźmie tego tak bardzo do serca, bo nie lubi psuć sobie humoru prózną irytacją.

— Ależ on taki nerwowy, taki wrażliwy, co będzie, jeżeli się na dobre pogniewa?

— Postaramy się jakoś, żeby się przeprosił — i wierz mi, mateczko, że to nie będzie trudnem. Wuj dba o sąsiedzki stosunek z Nabrzeżanami, który mu uprzyjemnia obrywińskie nudy, — zawsze to przecie powtarza. A zresztą, to, co się stało—już się odstać nie może, i moje postanowienie nie zmieni się.

Pani Mimi nie dostała nerwowego ataku, ponieważ zmiarkowała z tonu syna, że byłby bezskutecznym, a także dlatego, że uspokoiła się trochę co do Wielolęckiego. Była jednak mocno nadąsana, i nie odezwała się więcej ani słowa, a przyjechawszy do domu, zażyła bromu i poszła do łóżka.

Pani Tomaszowa Nabrzeńska przechadzała się zwolna pomiędzy dwoma rzędami lip pastarych, które obecnie kwitły, napęlniając przejmującą wonią miodową czyste powietrze wieczorne. W mroku zbliżającej się nocy blada twarz staruszki świeciła zdaleka łagodnym jakimś odblaskiem, podczas gdy szczupła postać w czarnej sukni rozpląwała się i prawie nikła wśród cienia.

Zygmunt, wprowadziwszy matkę na schody, poszedł w lipową aleję — i podbiegłszy żywo do babki, zaczął całować jej ręce z jakimś niezwykłym uniesieniem.

— Coś ty taki wzruszony, dziecko moje? — spytała babka.

— Jestem wolny, babciu! wolny jestem!... — zawołał z głębi serca.

Babka spojrziała na niego uważnie.

— Któż zerwał, ona czy ty? — zapytała.

— Ja, babciu; ale dla słusznej i ważnej przyczyny.

— Mam nadzieję, że nie masz sobie nic do wyrzucenia?

— Nie, babciu; w żadnym razie nie mógłbym być postąpić inaczej. A jeżeli chcesz sama osądzić tę sprawę?

— Nie, moje dziecko; w podobnym wypadku mężczyzna obowiązany jest do milczenia. Twoje zapewnienie wystarcza mi najzupełniej—i całym sercem dziękuję Panu Bogu, że się tak stało. Wielka to była dla mnie boleść, widzieć, że stawiasz szczęście swoje na niepewną kartę.

— I nietylko to, babciu. Było jeszcze coś więcej, o czem ci mówić nie mogłem, coś — co musiałem tłumić w sobie, borykając się z własnym sercem w bezskutecznej męce...

— Wiem o tem, dziecko moje.

— O czem wiesz, babciu? — zapytał zdziwiony.

— O twojej skłonności dla Malwy Kalinieckiej. Wiem nawet coś więcej jeszcze...

— Coś więcej jeszcze?...

Staruszka wzięła wnuka pod ramię—i przechadzając się z nim zwolna po alei, opowiadała:

— Wiesz, jak polubiłam Malwę i jak mi były miłe jej odwiedziny. Pocziwa dziewczyna przybiegała często, żeby mię rozerwać i pomódz w haftowaniu ornatu. Aż tu raptem, jakoś przed paru tygodniami, powiada mi, że robotę do wykończenia musi zabrać z sobą do domu, bo przez jakiś czas odwiedzać mię nie będzie mogła. Zaczynam ją badać, co się stało, ona płacze się i miesza, ja nakoniec wymagam, aby mi, jak matce, całą prawdę powiedziała; a wtedy moja panna czerwieni się, jak kalina, klęka przy moim fotelu—i spowiada się z tego, co zaszło między wami.

— A czy się na mnie gniewała, babciu?

— Zupełnie tak, jak i na siebie samą.

— Jakto?

WALKA ZE ZBRODNIĄ,

PRZEZ

Alexandra Kogilnickiego.

(Odczyt, wypowiedziany w d. 6-ym kwietnia r. b. w Łodzi).



Geneza każdej, najczarniejszej napozór zbrodni, kryje się w nieznanym ogółowi tajnikach; droga, którą szedł przestępca, niknie w pomroce.

Na pierwszy rzut oka niejedna zbrodnia wydaje się straszna, wstrząsającą całą istotą uczciwego człowieka, wołającą o jaknajprędszą pomstę, o jaknajszybsze, bezlitosne zglądzenie potwornego jej wykonawcy. Ale, jeśli rzucimy promień światła w ciemną krainę pobudek, jeżeli rozjaśnimy mrok, panujący na drodze, która doprowadziła przestępcę do skalania rąk zbrodnią, — częstokroć miejsce oburzenia i gniewu zajmą współczucie i litość nad nieszczęśliwym, który popchnięty fatalnym zbiegiem okoliczności, wyrządził większą może krzywdę sobie, niż innym.

Każdy zły czyn, każde wykroczenie przeciwko prawu i porządkowi społecznemu wynika z szeregu nieznanym ogółowi przyczyn, rodzi się w tajnikach duszy przestępcy pod wpływem wielu pobudek i motywów. Nie na tym świecie nie dzieje się bez przyczyny, a więc i przestępstwo, jako zjawisko tego świata, musi mieć swoją przyczynę. Istnieje ona w każdym poszczególnym przypadku, a jeżeli jej nie widzimy, to dlatego jedynie, że nie chcemy, lub nie umiemy jej szukać. Tego pobudził do zbrodni gniew, tamtego zazdrość, innego nędza, jeszcze innego brak wychowania i zasad moralnych, czasem pijaństwo, zły przykład, często zbroczenie umysłowe. A zawsze była jakaś przyczyna.

Takie to napozór proste, a jednak wiele tysięcy lat przejść musiało, zanim ludzkość doszła do tego wniosku.

Rzućmy okiem na rozwój historyczny pojęcia o przestępstwie.

Dla człowieka pierwotnego pojęcie przestępstwa jest identycznym z pojęciem osobistej krzywdy. Kto czyha na jego życie, kto mu odbiera upolowaną zwierzyńcę lub zbiera owoc, kto mu chce zedrzyć z ramion skórę zwierzęcą lub wypędzić go z wygodnej jaskini, — ten jest zbrodniarzem, zasługuje na karę, na zniszczenie, na zgubę. Pierwotna zbrodnia jest tylko krzywdą osobistą, pierwotna kara jest obroną lub zemstą. Kiedy ludzie zaczynają się łączyć w społeczeństwa, kiedy w pierwotnym dzikim samotniku budzi się poczucie towarzyskości, potrzeba współdziałania i wzajemnej pomocy, wtedy z pojęciem krzywdy osobistej łączy się drugie, wyższe, bardziej oderwane pojęcie — krzywdy społecznej. Kto spełnia czyn, niepożądany dla całości i dobrobytu gromady, ten wyrządza krzywdę nie tylko samej poszkodowanej jednostce, ale i innym, zmniejsza bezpieczeństwo publiczne, podkopuje podstawy istnienia społeczności. Taki przestępca naraża się nie tylko na zemstę prywatną, lecz i na karę publiczną. Stając się szkodliwym dla gromady, oburza ją na siebie i wywołuje represję. Tak np. starożytni Germanowie

w pierwotnym stadium rozwoju uważali każdy czyn karygodny za pogwałcenie pokoju (friedbrotd) i w myśl idei odwetu karali przestępcę pozbawieniem pokoju. Było to pozbawieniem praw w najszerszym znaczeniu tego wyrazu. Skazany tracił wszelkie prawa, nie wyłączając prawa istnienia; każdy mógł zabić go bezkarnie, nikomu nie było wolno udzielać mu pomocy. Kto przyjął go do domu, nakarmił lub napił, tego skazywano na taką samą karę. Pozbawiony pokoju, o ile zdołał uciec przed zemstą poszkodowanego i jego krewnych, musiał kryć się w lasach, unikać ludzi, nie pokazywać im się na oczy, bo każde zetknięcie z nimi groziło mu niechybną śmiercią.

Z biegiem czasu pojęcie krzywdy społecznej nabrało cech religijnych: przestępca nie tylko krzywdził jednostkę i zamącał spokój publiczny, ale jeszcze obrażał bogów i zciągał ich gniew na całą gromadę. Zglądzić go ze świata było zasługą przed ludźmi i oczyszczeniem wobec bóstwa. Powoli, z rozwojem pojęć społecznych i prawnych, zaczęto dochodzić do wniosku, że nie wszystkie czyny szkodliwe zasługują na jednakową karę, że nie każdy zły czyn jest tak bardzo zły, żeby jego sprawca nie mógł w dalszym ciągu istnieć w społeczeństwie. A przemawiały za tem i względy ekonomiczne i względy bezpieczeństwa. Każdy skazany ginął bezpowrotnie dla gromady, społeczeństwo traciło w nim nawsze parę rąk do pracy i pierś do obrony od nieprzyjaciela. A jeżeli uszedł z życiem, sam nawet stawał się wrogiem, tem bardziej niebezpiecznym, że nie miał już nic do stracenia.

Zaczęto więc zastanawiać się nad tem, w jaki sposób możnaby karać winnych, nie pozbawiając społeczeństwa ich usług; więc przede wszystkim oddzielono przestępstwa prywatne, wymierzone przeciwko jednostce, od publicznych, skierowanych przeciwko społeczeństwu. Nazw tych nieznanym jeszcze wówczas, ale podział umiano już wytworzyć. Kto skrzywdził jednostkę, tego oddawano na łup poszkodowanego i jego rodziny, — społeczeństwo nie wtrącało się do stosunków prywatnych; co najwyżej za zamącenie spokoju publicznego pobierano jakąś opłatę na rzecz króla lub wodza. Publicznej zaś karze ulegały wykroczenia przeciwko całości społeczeństwa, a przede wszystkim zdrada stanu i przestępstwa przeciwko religii. Tutaj zemsta społeczna nie znała granic: najokrutniejsze męczarnie, obdzieranie ze skóry, palenie żywcem, wyrwanie wnętrzności, zdawały się zbyt małą karą dla potwora, który ośmielił się wystąpić przeciwko bogom lub władzy.

A jednocześnie zaczęto ograniczać prawo zemsty prywatnej. Zjawiają się postanowienia, zabraniające robienia przestępcy większej krzywdy, niż on sam wyrządził. Za wybić oka wolno było wybić winnemu jedno oko, ale nie oba. Ponieważ zaś zemsta wywoływała znowu zemstę i tak mogłoby się ciągnąć do nieskończoności, prawodawstwa ujęły w karby uczucie odwetu i pozwalały mścić się tylko poszkodowanemu i jego najbliższym krewnym. Poszczególne przepisy określają wyraźnie stopień pokrewieństwa, w jakim zemsta była uprawnioną. Kto wykonywał zemstę w granicach prawa, ten spełniał czyn

— Boście oboje byli jednakowo nierozważni, zaufawszy tej waszej niby przyjaźni, pod której osłoną rozwinęło się w was inne uczucie.

— W nas, babciu?... czyżbyś przypuszczała, że i ona?...

— Nie przypuszczam, bo wiem napewno.

— Babciu moja najdroższa!...

— Czekażcie! udusisz mię — i nie dokończę. Otóż upewniła mię, że ty o tem nie wiesz, i nie dowiesz się nigdy, że oboje wolicie być uczciwi, niż szczęśliwi, że dla twego i swego spokoju ona unikać cię musi, i dlatego, chociaż dla niej to bolesne, musi przestać cię odwiedzać, aby nie spotykać się tutaj z tobą.

— Ale teraz przecie mogłaby?...

— Teraz mam znowu pilną kościelną robotę, z którą mi samej jakoś nie sporo, bo oczy coraz gorzej służą. Więc jutro posyłam po moją kochaną pomocnicę — i we dwie z pewnością wykończymy na Matkę Boską Siewną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WIOSNA.



Do ciebie także dążyć chcę,
Do twojej cichej chaty,
Tak — przez poranną srebrną mgłę,
Gdy myślisz, że ja mijam cię,
W dalekie idąc światy!

Nektarem słodkich, wonnych ros
Maluczkie bzu kielichy
Napełnię — taki rosy los!...
Dopłynię mój stłumiony głos,
Gdzie dom twój stoi cichy.

Przez ścianę podam ci — przez mur
Tę czarę ros liliową,
Skowronków ci zaspiewa chór,
Że rozerwany welon chmur,
Że błękit masz nad głową.

W pogodny wieczór błękit ten
Ozłocę dobrą gwiazdą,
By słodki na cię przyszedł sen,
Odnajdę drogę — prosto — hen!
Nad ciche twoje gniazdo!

Konwalii cudną, lotną won'
Me rozchylone usta
Na rozbujałą twoją skroń
Przywioną. Serce drży i dłoń,
Choć chata twoja — pusta.

Choćby twój duch tak smętny był,
Jak kruża łez żalosa,
Z puharu mego będziesz pił,
Przelotną chwilę będziesz śnił...
Jam wiosna — wiosna — wiosna!

Bożymir.



dozwolony i mścić się na nim nie było wolno. Wszelka zemsta po za granicą prawa była nowem przestępstwem — mściciel zamieniał się w zbrodniarza i sam narażał się na zemstę uprawnioną.

Zemsta rodowa istniała u wszystkich narodów w pierwotnych okresach rozwoju, ale nie u wszystkich przetrwała długo. Na Sycylii i Korsyce, wśród nagich skał Czarnogórze i Albanii, gdzie przetrwały półdzikie krwawe obyczaje, zemsta rodowa nie zagasła dotychczas. I dziś jeszcze odbywają się tam krwawe dramaty i dziś ród powstaje na ród, członkowie jednej rodziny mordują członków drugiej. Vendetta korsykańska, która dziś stanowi osobliwość namiętnych wyspiarzy, dawniej istniała u wszystkich ludów.

Tylko, że zimne, jasnowłose i niebieskookie ludy germańskie i słowiańskie prędko zrezygnowały z pozwolenia zemsty, a raczej z godną podziwu obojętnością potrafiły wyzyskać nadane im prawo dla celów ekonomicznych. U ludów północnych bardzo wczesnie rozpoznał się zwyczaj wykupywania się od zemsty — przestępca płacił poszkodowanemu lub jego rodzinie odszkodowanie i w ten sposób zapobiegał zemście. Prócz odszkodowania dla pokrzywdzonych płacił także pewną sumę na rzecz skarbu za zamęcenie spokoju publicznego. Opłaty te rozpowszechniły się po całej prawie Europie i nosiły rozmaite nazwy: wehrgeld, fredum, wira, prodaża, główszczyzna, a cały system zwał się systemem kompozycji. Prawodawstwa ówczesne, oparte całkowicie na prawie zwyczajowym, uwieczniły system kompozycji w prawie pisanem, a pragnąc mu nadać ścisłość i dokładność matematyczną, wytworzyły takse odszkodowania za każdą krzywdę. Tak np. podług statutu Wislickiego za zabicie szlachcica lub skrzywdzenie go słowem płaciło się 60 grzywien, za skartabellusa—30, za świeżo do stanu rycerskiego podniesionego—15, za kmiecia 6 grzywien stronie skrzywdzonej, oprócz opłat sądowi. Prawo ustanawiało specjalną takse opłat za ucięcie ręki, palca, ucha, za wybicie oka, za ranę ciężką lub lekką, za uderzenie w twarz, za wykroczenia przeciwko czci niewieściej, za przestępstwa przeciwko własności. Całe kodeksy karne, o ile dotyczyły przestępstw prywatnych, były tylko szeregiem cyfr i dopiero w razie niewypłacalności groziły innemi, bardziej surowemi karami. Wykupywanie się od zemsty z wyjątku stało się regułą. Tak było w ostatnich latach panowania pogaństwa.

Religia chrześcijańska wniosła cały szereg nowych pojęć w dziedzinę prawa karnego. Zasada: ząb za ząb, oko za oko, nie zgadzała się z podstawami chrystyanizmu, a zarazem pogląd na przestępstwo uległ radykalnej zmianie. Dla społeczeństwa chrześcijańskiego przestępstwo było przede wszystkim grzechem, a grzech musiał pociągać za sobą karę. Ówczesni chrześcijanie zanadto byli jeszcze pierwotni i dzicy, ażeby wznieść się ponad zemstę i zrozumieć wzniosłą ideę przebaczenia; pod wyrazem „sprawiedliwość“ rozumieć oni nagrodę za dobre uczynki i karę za złe. Za przestępstwo więc, jako za grzech, winowajca, podług ówczesnych pojęć, musiał ponieść karę wieczną albo doczesną. A ponie-

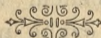
waż należało starać się o uwolnienie bliźniego od kary wiecznej, więc musiano skazywać na kary doczesne, przyczem wytworzyło się przekonanie, że im surowsze będą kary, tem łatwiej winowajca uzyska przebaczenie na tamtym świecie. I stała się rzecz dziwna: zasada chrześcijańska zamiast złagodzić dzikość kar, wymierzanych za czasów pogańskich, przeciwnie, spowodowała ich obostrzenie i wytworzyła tak okrutne kary, że przed niemi wzdrygnęłyby się umysły i serca pogan.

A w dodatku wraz z chrześcijaństwem do Europy zaczęła przesiąkać rzymska teoria prawa karnego. Zasada Seneki: „*nemo prudens punit quia peccatum est, sed ne peccetur*“ (nikt rozumny nie karze dlatego, że zostało spełnionem wykroczenie, lecz ażeby go nie spełniano w przyszłości) — zasada ta wysunęła na pierwszy plan pojęcie celowości kary. Dotychczas na karę zapatrywano się, jak na naturalny skutek przestępstwa; kto spełnił przestępstwo, musiał być ukaranym bez względu na to, dlaczego tak postąpił i jakie skutki kara za sobą pociągnie. Kara była przywróceniem normalnego biegu rzeczy, skrzywionego przez zbrodnię.

Teraz prawo karne zaczyna się zajmować celem kary i jako pierwszy cel stawia to, co jedynie mogło się wyrobić w ówczesnem półdzikiem społeczeństwie — odstraszenie. Karać tak, żeby inni z obawy przed karą nie spełniali przestępstw — oto hasło ówczesnej teorii. I w myśl tego hasła dopuszczono bez granic namiętności oprawców. Całe setki zdolnych umysłów wysiłały się na to, ażeby przedłużyć konanie skazanych, zrobić męczarnię efekowniejszą i bardziej przerażającą. A punktem kulminacyjnym tego okrucieństwa była ponura inkwizycya hiszpańska, której samo imię po przejściu kilku wieków, niejednego jeszcze dreszczem przejmuje.

Dopiero kiedy strumienie krwi zaczerwieniły ziemię, a łuny stosów zarumieniły niebo, jaskrawość tej czerwieni przeraziła ludzkość i zbudziła pragnienie łagodnego błękitu miłosierdzia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



LUTA.

ŚZKIC DO POWIEŚCI.



»Władza człowieka jest wielką, może on bowiem ulegać obowiązkowi i znieść niedolę spokojnie.»

Marek Aureliusz. XII.

...Są kobiety, jak tęczowe bańki mydlane, błyskotliwe, lśniące, — jak one puste i powierzchowne, dla których życie jest jedynie salą balową, po której przeslizgują się z rozkosznym uśmiechem na ustach; są gołębie bierne, które nic nie nurtuje, nie zastanawia, nie niepokoi i takie, jak trutnie, które z życia zbierają słodczyce, przez innych nagromadzone, drugim pozostawiając truciznę; są jak róże, stworzone na to, aby być podziwiane i kochane, dając wzamian krąse swych lić i ujmujący wdzięk; są jako puchy łąkowe, zależne od podmuchu, który niemi miota; są nie-

pozorne, nikłe, a bardzo liczne mrówki, pochłonięte drobnymi troskami powszedniego żywota i takie, jak nietoperze, które dążąc do światła, tłuką się w ciemnościach i zapadają nieraz w otchłań zwątpień i rozterki; są wątle powoje, które żyją oddaniem się i poświęceniem, lecz muszą się koniecznie na kimś wspierać, być czyjś odbiciem, żyć wpływem umiłowanej istoty, — takie, dla których życie jest jedną bezgraniczną miłością, a kierownikiem — serce.

Mało jest orlic; mało takich, któreby łączyły energię czynu z rozumem i rozważą.

Ale jest wiele biednych dusz tułaczy, które fatum jakies gna przez życie całe bez odpoczynku, dla których słońce nie ma łagodnych promieni, lecz żar piekący, a deszcz nie bywa ożywym strumieniem, lecz druzgoczącą nawałnicą, którym nie przyswieca żadna gwiazda Idei, ani wielkiego ziemskiego uczucia, a droga ich żywota jest szara, pusta, bezpromienna, ciernista i w nieskończoność jednako samotnie biegnąca.

Takiemi kieruje zawsze: obowiązek!

* * *

«Życie—to walka.»

Seneka.

„Święta!“ co za niedorzeczny, niestosowny pomysł!

„Święta“ — mawiały o niej panny i kumoszki z przekazem, plec mężka z udaną bojaźnią, niektórzy z widocznym szacunkiem, inni, a tych była większość — z bezmyślną złościwością.

„Martwica“ — mawiano także czasami. Rzeczywiście, robiła wrażenie martwej, wysiłkiem utrzymywanej przy życiu.

Cała jej postać szczupła i wysoka, nieokreślonego wieku, pochylona nieco naprzód, miała wygląd znużony i chorobliwy.

Twarz zciąglą, o cerze ziemistej, włosy gładko zaczesane i w warkocz upięte, a z pod spuszczonej powiek patrzyły oczy jasne, bezbarwne, i zdawały się nie naokół nie widzieć.

Nie tlało w nich ożywienie, nie malowało się żadne uczucie, nie objawiało wrażenie; były, jak dwie zdmuchnięte gromnice.

Zakutana zwykle w jakies robrony krojem bluz lub wolnych kaftanów, lub też bez kroju zupełnie, o ciemnych, wpół zakonnych i całkiem niewyraźnych barwach, w wielkim fartuchu z kieżą i rękawami, w przydeptanych pantoflach, krzątała się nieustannie po całym gospodarstwie, niestrudzona, niezmordowana od świtu do nocy.

Przyzwyczajono się uważać, że „Luta to zrobi.“

I robiła — wszystko za wszystkich, z tym naturalnem przeświadczeniem, że „tak być musi,“ nie mając nigdy wolnej chwili „dla siebie,“ nie zajmując sobą nikogo, — z tym spokojem i małomównością ją cechującą.

Mówiono o niej, że jest zimna i skryta, a nie starano się nigdy zbliżyć i poznać, jaką była w istocie. Ona sama unikała ludzi, bojąc się im narzucać i poprzestawała dobrowolnie na roli sługi i kluczniczki w domu.

I dziś, kiedy siedziała, przygarbiona i przedwcześnie wędnąca, nad stołem przygotowanej do naprawy bielizny, biedziła się widocz-

nie nad dopasowaniem pojedynczych, skrajanych części. Nie szło jej jakoś; parokrotnie pocierała czoło i wzdychała.

W pokoju zciemniało się coraz bardziej.

Nie, dzisiaj nie mogła się niczem „porządnie” zająć! Wszystko jej z rąk wypadło, z pamięci i z myśli uciekało, prócz tej jedynej, uporeczywej fali wspomnień, która przepelniała jej duszę całą i której opierać się nie miała już siły, ani chęci.

Więc to już rok!...

Rok zaledwie, jak odszedł na zawsze!... Jak ona żyła przez ten czas, jak mogła żyć! Wszak już raz umarła przy jego grobie, kiedy usłyszała chrzęst szpadli, sypiących piasek na wieko jego trumny.

Wtedy zrozumiała dopiero, że to już prawda! Czemu ona odejść nie mogła również i skryć się głęboko, na zawsze!...

Dlaczego dziś właśnie uczuwała z całą potęgą pierwotny ból, zimny, ostry, druzgoczący ból w głowie, w piersiach, w gardle!

Zimno nią wstrząsa, a potem wszystkie tętna biją, wala, kołaczą, huczą! Czemu dziś taki żal, taka tęsknota szarpie jej sercem? Wszak tak długo, tak usilnie i bacznie stała na straży swego sumienia i postępowania.

Przecież ona mu nigdy nie okazała, że go kocha inaczej, niż kochać powinna, a on się tego sam nie domyślał.

Badała siebie i krytykowała, jak najsurowszy sędzia.

Przywodziła sobie na pamięć wszystkie chwile w domu jego spędzone, od najwcześniejszej, gdy go tylko poznała.

Głupie, spóźnione uczucia, zawiedzione nadzieje!... Dziwaczka, stara panna!

Czyż ona nie wiedziała, że przy Irmie wyglądała zawsze, jak astra przy pierwiosnku, czy mogła choć na chwilę przypuścić, jaki mógł paść wybór między niemi?... Czy nie przypomina sobie, jak Irma, dzieckiem będąc zwracała powszechną uwagę swą śliczną buzią, jak bywała na zebraniach, wieczorkach w jej własnych, nowych, przerabianych sukienkach, jak się nią zachwycono, jak zazdrośczone!...

Ileż razy zwracano się do niej z pochwałą, z uznaniem „dla tej miłej i ślicznej istoty,” a ona czuła wtedy miłość bezgraniczną i dumę niemal macierzyńską obok swej „małej” siostry.

A matka, ta biedna, schorowana męczennica, umierając, miała tylko jedyną troskę, aby „Irma była szczęśliwą.”

Polecała ją tak gorąco jej opiece i staraniom, a ona zobowiązała się i przysięgła święcie tego dotrzymać; poczuła wtedy w sobie taką moc i siłę do podniesienia walki z losem i ponoszenia wyłącznie życia ciężarów, aby tylko osłonić „dziecinę” przed wszelkimi ciosami.

A znacznie już potem był bal na szpitalik miejski, na którym Irma, ten ośmnastoletni dzieciak, figurowała pod jej opieką po raz pierwszy, jako dorosła panna.

Wówczas poznały Sergjana Juraniča, młodego, a już powszechnie znanego i cenionego sędziego w Vinkovacu, małej, powiatowej miłościnie w Slawonii.

A nieco później, gdy on się oświadczył o Irmę, ona uczuła nagle, że się z nią coś

dziwnego dzieje, że zamiast się cieszyć, czuje ból i beznadziejny, rozpaczliwy smutek, że ona nigdy nie będzie mogła uważać go „jedyń” za swego szwagra.

Ale to była partya dla Army, to był los, o jakim marzyć mogła ich matka. Czego więcej spodziewać się miała?

A Irma? — ten pusty dzieciak!

Ona była olśniona swem nowem stanowiskiem, jakie przyjmowała bez zastrzeżeń, bez refleksyi. Zajmowała ją więcej myśl o ogrodzie i winnicach, które być miały jej własnością, zachwycały ją róże, pszczoły, biała kosa w przyszłym gospodarstwie. Wołała nieraz: „Wiesz, on ma żywą sarenkę; mówię ci — cudna!”

Ale ani na chwilę nie pomyślała: „Czy ja będę odpowiednią żoną dla niego? Czy potrafię mu prowadzić dom?”

Los Army był zabezpieczony, o lepszym sama matka marzyłaby nie mogła. Ją czekało teraz osamotnienie i tułactwo pracy zarobkowej.

Ale tu pomyślano i zdecydowano za nią: „Luta zostanie. Srdź! prawda?... zostanie z nami!...” Coś się w niej zbuntowało, coś się porwało i krzyczało: „Nie! nie! nie chcę, nie mogę!...”

Została jednak. Swem doświadczeniem, swą zaradnością i pracą winna była wspierać Irmę i ją zastąpić.

Powoli: „Luta to zrobi,” stało się pewniakiem, płynącym z przeświadczenia, że tak będzie w istocie. Została gospodynią i szafarką „ich” dobra. Nielada to było zadanie. Juranič „otworzył” dom, pysznił się żoną, bawił, pokazywał światu, podejmował gości na licznych i częstych biesiadach, a karty i wino stanowiły o spędzeniu czasu. Czekwały nań sprawy dobra publicznego, — zanieczyścił je; czekali ciemni, występni, bezradni i biedni, a on tył i filistrzał w rozkosznych dobrobycie.

A ją żarł wtedy ból, nie tłumionej zazdrości, lecz wstydu i żalu nad „jego” upadkiem.

Gospodarstwo takie pochłaniało moc pieniędzy i przewyższało dotychczasowe ich dochody. Próbowwała mu delikatnie zwrócić uwagę. Zbył ją krótko:

— Wystarczy, póki ja żyję!...

Aż przyszedł ten nieszczęsny dzień!

Stoi jej niemal przed oczyma tak wyraźnie, jakby to wczoraj było! Przyjechali dygnitarze na rewizję spraw; jeden powód więcej, aby ich ugościć. Więc bal, przepych, jakiego dotąd jeszcze nie było!

I znów muzyka, karty, pijatyka, tańce, a wśród tego zbiorowiska czarnych nietoperzy przesuwająca się Irma — śliczna, ponętna, w pełni młodości, w białej wyciętej sukni, z srebrzystym motylem na swych złotych włosach.

I znów ją dręczył wyrzut: Czy ją dobrze pokierowała, czy powinna wszystko tak dłużej znosić, jak dotąd jest? Swem zbolełym sercem, które nie zaznało pustej radości ni rozweselenia bez troski, nie była zdolną pojąć podobnej zabawy, napawającej ją obrzydzeniem i zabobonnym jakimś przestraczem.

I wtedy przyszła ta noc okropna, gdy Srdź padł naraz tknięty paraliżem!...

Biesiadnicy i goście poprzelękani, zwarzeni, wymykali się po cichu jedni za drugimi,

a dom wesela w jednej chwili zamienił się na dom żałoby! A on nieszczęśliwy — przed chwilą zdrowy i ożywiony, leżał teraz bez ruchu, bez mowy, bez władzy.

„Kara Boża!” — przemknęło jej przez myśl, ale wnet go usprawiedliwiała i tłumaczyła sama przed sobą. Świadomość, nieco później, i mowa, chociaż utrudniona, powróciły, — władza nie miała powrócić już nigdy.

Sergjan stał się zgryźliwy, przykry w objawach nierównego usposobienia, posępny i milczący. To znów wybuchał rozpaczą, zalewając mu duszę a usta przepelniającą goryczą i bluźnierstwem.

I ona „takiego” człowieka kochała!... Nie, nie takiego! Wierzyła niezłomnie, że byłby innym, że mógł być innym, gdyby nie warunki, okoliczności... W tej chwili był to nędzarz, zasługujący na najwyższe współczucie. Dlatego z całą delikatnością, z całą słodyczą, aby go nie drażnić, przemawiała do niego, starała się go ukoić, pogodzić, pocieszyć.

Siedzieli właśnie w ogrodzie pod kasztanami, on w fotelu, w jakim go wytoczono, ona naprzeciw, zajęta jakąś robotą i gawędzili, a raczej ona mówiła tym przytłumionym, spokojnym głosem, a Juranič patrzył na krajobraz przed nim rozpostarty, na żółte łąny kukurydzy i dojrzałej przynicy, zakończone zielonemi łąkami i ciemniejszymi wzgórzami winnic, po za którymi zarysowywały się na horyzoncie oddalone góry Darowaru.

Wchłaniał w siebie te światła, barwy, wonie otaczających go kwiatów, patrzył na jasny jednolity błękit, na grupy komarów zawieszonych w promieniu słonecznym i smutniał widocznie.

Głowę pochylił na piersi, twarz, na której osiadł chwilowy spokój, skurczyła się boleśnie, oczy przykmyknęły.

Milczeli oboje.

Ona bała się przerwać tę chwilę zadumy, a może i drzemki, jakim ulotnem zapytaniem, lecz naraz zdjęta niepokojem wpatrzyła się w jego oblicze, a serce jej ścisnęło się bólem i wezbrało ogromnem współczuciem.

Sergjan płakał.

Więc poruszyła się żywo i pochylając ku niemu, zapytała troskliwie:

— Żle wam?...

A on rozwarł powoli powieki i patrzył na nią długą chwilę w milczeniu z żalem i niemą rezygnacją, a potem wyszeptał z wysiłkiem:

— Odchodzę!...

I niewiadomo, czego mu bardziej żal było, czy tej ziemi, którą w całej krasie pozostawiał, czy Army, czy synka, małego Tonia, czy tego, że w pełni sił odchodzić musiał od życiowej biesiady, z nienasyconymi jeszcze ustami.

Więc mówiła do niego łagodnie i cicho, jak do dziecka, krzepiła jego wiarę, dodawała otuchy, choć chwilami własnym nie wierzyła słowom i drżała, aby i jemu tego nie okazać.

— On nie może umrzeć! — wmawiała w siebie, a jednocześnie drugi głos rzewny odzuwała, który mówił:

— On musi umrzeć! — i nie znajdowała ratunku, ni obrony.

Słuchał jej słów w milczeniu i starał się

zrobić ruch przeczący, poczem ujął powoli jej rękę i wyjąkał:

— Dziękuję ci za wszystko! — a w niej serce załopotano gwałtownie, rumieniec gorący oblał ją aż po włosy, i poczuła łzy, cisnące się nagle do oczu.

Porwała się i uciekła spiesźnie.

To był ostatni piękny i pogodny dzień jego!

Niebawem pogorszyło mu się znacznie. Nie było już mowy o podnoszeniu go z łóżka, gorączkował, wszystko mu naraz dolegało poczęło. Odtąd ani dnia, ani nocy, ani godziny spokojnej nie było! Luta zapomniała spać, jadać, rozbierać się i ubierać. Irma chodziła, jak błędna, płakała i rozpaczała po kątach, załamując ręce w swej bezsilności. Choroba postępowała coraz bardziej i pociągała mnóstwo wydatków; gospodarstwo bez dozoru, wspierane nieudolnymi rękoma, rozpadało się powoli, lecz nieustannie. Luta nie mogła poddać i zaradzić wszystkiemu, zresztą czuła się już tak znużoną! Od dwóch tygodni krzepiła się koniakami i czarną kawą i sztucznie podtrzymywała naprężone nerwy. Teraz nie łudziła się już, że go uratuje, widziała, że z rąk jej wymyka się ten skarb, to życie ludzkie tej drogiej istoty. Więc i ją chwilami ogarniała apatya i martwa bezsilność, energia jej łamała się w tym wysiłku i teraz zdawała już wszystko na los przypadku.

Po wielu dniach — dniach i nocach męki i czuwania, trwogi i nadziei, wstał ranek jesienny, zimny już nieco, lecz jasny i słoneczny.

Chory zdawał się drzemać; w drugim pokoju Irma przycupnęła na kanapie i usnęła. Po nieprzespanej nocy Luta wysunęła się do ogrodu, aby się odświeżyć i rozprostować zbolale członki. Weszła w grzędy kwiatowe i ostrożnie obcinała róże, ostatnie róże jesienne, pełne, o silnych barwach, pałowe, różowe i żółte, na których drżały krople rosy porannej. Zasiadła się dłużej w sadzie, gdyż zboczyła do ogrodu warzywnego, zaszła do inspektów, obejrzała melony, wydała rozporządzenia ogrodnikowi i teraz powracała spiesźnie z wiązanką operlonych róż, które chwilami przytulała do twarzy. Coś gnało ją z powrotem.

Wpadła do domu, zdjęta nagłym niepokojem, a wszedłszy na próg sypialni, znieruchomiała z przerażenia...

Juranić konał.

Gustawa Toporcanka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



O POJEDYNKU,



W felietonie z numeru 17-go „Bluszczu“ K. Gliński wypowiada swoje zdania o pojedynku, które w umyśle czytelników budzą rozmaite uwagi, a temi — jeśli można — chciałabym się z czytelniczkami „Bluszczu“ podzielić.

W całym społeczeństwie dzisiejszym niema z pewnością ani jednego kulturalnego i umo-

ralnionego człowieka, któryby nie zgodził się na to, że pojedynek sprzeciwia się bezpośrednio prawu Boskiemu, porządkowi społecznemu i postępowi cywilizacji; że w żadnym wypadku nie zezwala religia na morderstwo, prawo — na zemstę osobistą, rozwój intelektualny — na logikę ślepego trafu, decydującego kto winien.

Taką jest w tym względzie zasada ogólnie przyjęta. Ale zwolennicy pojedynku, nie przecząc, że jest on sam w sobie aktem przestępczym i barbarzyńskim, dodają mimo to, że w niektórych wypadkach pojedynek jest nieuchronną koniecznością, i że bywają sytuacje życiowe, w jakich człowiek honorowy nie może nie wyzwalać albo nie przyjąć wyzwania.

Kwestya w ten sposób postawiona podaje do rozstrzygnięcia dwa pytania: 1) czy może człowiek uznawać słuszność zasady z zastrzeżeniem, że jej niepodobna stosować w praktyce? 2) czy prawdą jest, że ten, który się nie chce pojedynkować, jest człowiekiem bez honoru?

Na pierwsze pytanie odpowiedź jest jedna, prosta i niezbita: ktokolwiek postępuje wbrew czemukolwiek, co za prawdziwe i słuszne uznaje, popełnia czyn bezwzględnie zły; do popełnienia zaś jakiegokolwiek złego czynu nigdy, w żadnych okolicznościach, człowiek obowiązany być nie może.

Na drugie pytanie odpowiedzą, nie rozumowania, lecz przykłady: W starożytnych dziejach ludzkości, to jest przez przeciąg lat kilku tysięcy, pojedynków nie było wcale. Czy idzie za tem, że nie było ludzi szlachetnych i poczucia godności osobistej? Na to odpowiada historia i literatura, świadcząc o istnieniu takich ludzi i takich uczuć w Indostanie, Egipcie, Grecyi, Rzymie. Więc może nie zdarzało się, aby człowiek nikczemny skrzywdził człowieka szlachetnego? lub może szlachetny nie sobie nie robił z głosu sumienia i rygoru prawa — i poprostu zabijał nikczemnego? Tego — rozumie się — nikt na seryo twierdzić nie może. A więc wniosek ztąd znów jedyny: że można być szlachetnym i można nim pozostać, nie odpowiadając na obrazę wyzwaniem.

I drugi jeszcze przykład znajdujemy tuż obok, w Europie i w czasie obecnym. W Anglii obchodzono niedawno stuletni jubileusz od odbycia ostatniego pojedynku; czy to ma znaczyć, że od stu lat Anglik przestał być człowiekiem honorowym? Tego przecież nikt nie powie; bo chociaż Wielka Brytania, jako państwo nie wyrobiła sobie zbyt pochlebnej opinii, to jednakże — przez dziwną jakąś anomalję — jednostka ma tam tak odrębne cechy od zbiorowego ciała, że mianem dżentelmena szyci się i nie-Anglik, skoro mu je przyznają dla jego pojęć o godności i honorze.

A więc były dawniej i są dzisiaj jakieś sposoby traktowania doznanej obelgi inaczej, niż po zbójceku!

Kronikarz „Bluszczu“ woła: wszystko — byle nie policzek! — i radzi społeczeństwu zwrócić swe wysiłki ku wykorzenieniu z obyczaju, nie wprost pojedynków, lecz policzkowania. Wymowny i szanowny głos znanego autora i zacnego człowieka powinienby zrobić wrażenie i uzyskać cośkolwiek w tym kierunku; ale takie głosy dla bardzo licznej tłuszczy

pozostają wołającymi na puszczy, więc trudno się spodziewać powszechnego zastosowania się do dobrej rady i zaniknięcia skutku przez wykorzenienie przyczyny. Gdyby to można tak doraźnie usuwać jakiś zgubny nawyk społeczny, toby i wojny nie stało, bo zabrakłoby krzywdzicieli, i nie byłoby nędzy, bo wyzyskiwaczyby nie stało. Da Bóg przyjdzie może kiedyś i do tego, ale przedtem ile to jeszcze wody upłynie, a z tą wodą ile krwi i błota! Zanim więc uda się wyplenić z obyczaju i ten rodzaj zdziczenia, który się objawia zciąganiem gniewnej ręki ku obliczu ludzkiemu, usiłujmy przedewszystkiem wypleniać fałszywe pojęcie, że koniecznością jest, aby takie dotknięcie krew zmywała.

Faktem jest jednakże niezawodnym, że bywają krzywdy, które nie powinny iść na zwykłą drogę sądową, lecz wymagają natychmiastowego zadosyćuczynienia. I nie sam tylko policzek jest taką krzywdą, bo bywają i słowa, i czyny równoważne spoliczkowaniu. Zdarzają się także takie kolizye życiowe, w których jeden mężczyzna ustąpić powinien drugiemu; zdarza się, że ktoś za kogoś lub za coś koniecznie ująć się, koniecznie okazać gotowość poświęcenia siebie, zaryzykowania sobą powinien. I trzeba także uwzględnić ów popęd męzkiego animuszu, który woli narazić się na śmierć lub kalectwo, niż na opinię tehora. To też rozmaite sposoby rozplątania takich powikłań istniały i wówczas, gdy jeszcze pojedynków nie było, istnieją one i dziś tam, gdzie pojedynków niema. Każda epoka nowa, każda rasa ludzi, wytwarza sobie zawsze obyczaj, do każdej sytuacji zastosowany; chodzi tylko o to, czy owo zastosowanie jest trafne czy błędne, złe czy dobre. Stwierdzając, że obecnie u nas przyjęty obyczaj rozwiązywania pewnych sytuacji strzelaniem do siebie jest zły i błędny, wnioskujemy, że ten obyczaj, nie wykorzenionym — bo się nie da, — ale gruntownie zmodyfikowanym być musi.

Aby dojść do projektu jakiejś racjonalnej w tym względzie modyfikacji, cofnijmy się wstecz pamięcią i uprzytomnijmy sobie, jak się przekształcał i jakie fazy przechodził w społeczeństwie naszym ów prototyp pojedynku, wylęgły po części ze sfalszowanych pojęć religijnych, po części z zabobonnej ciemnoty średniowiecznej, zwany sądem Bożym.

Obyczaj ten, wytworzony w stosunkach zachodnio-europejskich, a przeszczepiony sztucznie na naszą niwę, nie bardzo się na niej rozplenił i nie kwitł długo; lecz przystosowawszy się do narodowego temperamentu, wytworzył owe bójki na szable, którei krewka szlachta doraźnie spory swoje rozstrzygała. Pojedynek taki miał chociaż to za sobą, że wykazywał sprawność i tęgość rycerską, a — co główna — bardzo rzadko miewał fatalne skutki, najczęściej kończył się tylko upuszczeniem trochy krwi zbyt gorącej. I o takim jednakże mawiał Jan Sobieski, że „odwaga dowodzi się w walce z wieloma, a nie w potyczce z jednym,“ — a obyczaj staropolski dozwalał wyzwania na rękę nie przyjąć — „przez uszanowanie dla praw Rzeczypospolitej, nie pozwalających pojedynkowania.“ Pojedynki formalne, z przepisaniem rytuałem, były rzadkością wielką, a zagaściły się dopie-

ro za czasów Stanisławowskich, jako import z zachodu i odbywały się zwyczajnie na szpady. To zastąpienie starej szabli „nowomodnym rożenkiem,” długo raziło rycerskość szlachecką, a zamiana cięcia na pchnięcie zrobiła wynik walki daleko niebezpieczniejszym, sprowadzając o wiele częstsze wypadki śmierci, albo ciężkiego okaleczenia.

Gdy szpadę u boku nosić przestano, ewolucya pojedynku weszła w najgorszą swoją fazę — wystąpiły pistolety. I oto z akcji zwierzęcej, lecz naturalnej — borykania się z sobą dwóch sił rozjuszonych, wytwarza się anormalny proceder zredukowania gwałtownych rękoczynów do spokojnego trącenia palcem cyngla, po którym następuje nie wojownicze kunsztu zwycięstwo, lecz proste morderstwo. I przez niepojęte zбочenie pojęć o honorze, dopuszczanemi przez towarzystwo, stały się nawet takie pojedynki na broń palną, w której przeciwnicy strzelają do siebie nie współcześnie na komendę, lecz mają strzał pierwszy i drugi. W tym wypadku przeciwnik stara się zabić drugiego przynajmniej dlatego, aby następnie nie być przez niego zabitym; ale przeciwnik drugi jak do słupa mierzy do człowieka wtedy, gdy ten bezbronny i obezwładniony nie ma prawa nawet odruchem ręki piersi sobie zasłonić, a zastrzeliwszy go, jak psa wściekłego, nie uważa się za zbrojca!

Takie zwyrodnienie instynktu moralnego może się zdarzyć tylko u ludzi przycwilizowanych, bo średnie wieki nic podobnego nie wymyśliły...

Powróćmy teraz do założenia. Jeżeli przyznamy, że bywają sytuacje i stosunki, pokrzywdzenia i obrazy, których ani przed sądami publikować, ani bezkarnie pozostawić niepodobna; i jeżeli uznamy, że w takich wypadkach musi rozstrzygać walka osobista, połączona ze zdaniem się na los szczęścia, bo innego sposobu naraz w obyczaj wprowadzić nie mamy możliwości, — zgódźmy się i na to, że pojedynek w obecnej swojej formie jest prostą nikczemnością — i wynajdźmy dla niego inną, szlachetniejszą formę.

Więc możeby powrócić do starodawnej rąbaniny na szable? Nie, bo upuszczenie krwi jest w każdym razie czynem nieludzkim, a zwłaszcza gdy ta krew — eliksir życia — tak bardzo podrożała w dzisiejszych anemicznych czasach.

Więc może popierać rozpowszechnienie tych, że tak powiem, symbolicznych pojedynków, w których nieszkodliwa pukania na placu, kończy się pukaniem korków w restauracji? I to nie, bo taka komedia ani osobistej ambicji, ani opinii świata zadowolić nie może.

Cóż więc pozostaje?

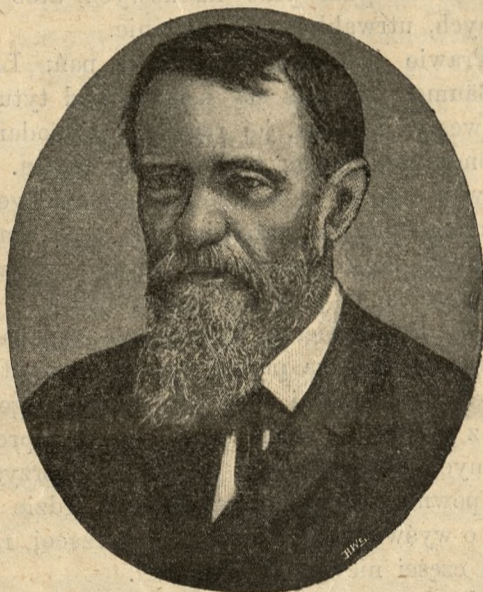
Pozostaje to, co stanowi właściwą istotę pojedynku: możność wykazania dbałości o swój honor, przez odważne narażenie się na ewentualność mniej lub więcej dotkliwych następstw walki; ale przeprowadzona w taki sposób, aby te następstwa nie sprzeciwiały się prawom moralnym, ani społecznym, owszem — aby cierpienie zadane osobnikowi obrócić w użytek ogółu.

Jakżeby się to działo?

Działyby się mniej więcej w ten sposób: Roztropni sekundanci, po zwykłych preli-

minaryach i określeniu warunków pojedynku, byłiby obowiązani wynaleźć jakiś równoważnik tych warunków, czyniący pojedynek aktem ryzykownym, lecz nie krwawym, a decyzyja ich musiałaby być przez strony przyjęta.

I tak naprzykład, przy warunkach lekkich, zacięcie do pierwszej krwi, pociągające przypuszczalnie za sobą parutygodniowy pobyt w lecznicy, mogłoby się równoważyć parutygodniowym pełnieniem zajęć bezpłatnego infirmiera w dobroczynnym ambulatoryum. W razie przyjęcia warunków cięższych, ekwiwalentem poważniejszego skaleczenia i dłuższej, kosztowniejszej kuracji, mógłby być przymus usunięcia się na czas odpowiedni z danej miejscowości i zaofiarowania na cel określony znaczniejszej sumy, lub dłuższego czasu swej pracy. A w wypadku walki na śmierć



Adolf Dygasiński.

Zm. d. 3-go czerwca r. b.

i życie, fatalny jej wynik mógłby być równoważony ofiarą połowy lub może całości mienia, zaciągnięciem się w szeregi ochotników w jakim Transwaalu, długoletniem lub może dożywotniem oddaniem się na usługi jakiej instytucji, misji, stowarzyszenia, jakiemu celowi społecznemu, naukowemu, filantropijnemu; pole posługi humanitarnej jest szerokie — i wybór na niem niemały, dla każdego bez wyjątku coś odpowiedniego znaleźć można. Wiadomo zresztą, że bywały próby w tym rodzaju, i że rezultat dawały zadawalająco.

Po ułożeniu warunków następowałby zwyczajny pojedynek na broń sieczną albo palną, z zachowaniem wszelkich, przyjętych lub umówionych przepisów, ale z tą różnicą, że w walce na szable przeciwnicy nie biliby się na ostro, tylko sposobem fechtunkowym, w walce zaś na pistolety strzelaliby kolejno do tarczy. Do sekundantów należałoby, rozumie się, sądzić cięć czy strzałów, i uznanie ich za równoważne lekkim lub ciężkim, niebezpiecznym lub nieznacznym, cała zaś procedura ulegałaby naturalnie dowolnie umówionym modyfikacyom. W takim turnieju przewaga zręczności i siły, wprawy a nawet męstwa, grałaby poniekąd tę samą rolę, co w krwa-

wym pojedynku, zwłaszcza w wypadkach, gdy wysokość stawki czyniłaby ryzyko poważnem a sytuację dramatyczną.

Mogłoby też czasami odbywać się i proste ciągnięcie na losy, jak w ohydnych pojedynku amerykańskim; ale takie zupełne usunięcie czynnika energii osobistej nie symbolizowałoby walki, i byłoby zupełnie pozbawionem zasadniczego pierwiastku rycerskości, który bądź co bądź manifestowałby się w pojedynku bezkrwawym.

Wiem dobrze, że to są tylko *pia desideria*; ale wiem także, że wiele zmian na lepsze od desideratów się poczyna. Nie luję się nadzieją, że głos pojedynczy wywoła radykalną zmianę; mam jednak ufność, że nie całkowicie bez echa zaginie, — że odezwą się nań głównie kobiety, że podziela wypowiedziane przekonania, — i że starać się będą przelewać je w podległych wpływom swoim mężczyznom; i tych dużych, którzy za ich uśmiech lub spojrzenie gotowi palić w łeb jeden drugiemu, i tych małych, którzy u ich kolan tłuką się drewnianemi szabelkami.

J. T.



Historya emancypacji i działalności kobiecej.



Jeśli czytamy historję jakichś dążeń, czy ruchów intelektualnych, znaczy to, że wyszły one z okresu pierwszych walk i przeciwności, że znajdują się już w stadium pewnego spokoju, że idealne cele zdobyły realną podstawę i że przeciwnicy, chociażby niechętnie, musieli jednak ustąpić przed powagą faktów. Historia każdego ruchu umysłowego obejmuje odłam kultury ogólnej, więc i na ruch emancypacyjny kobiet zapatrywać się też należy jako na jeden z przyczynków do rozwoju ludzkości.

Aczkolwiek z powodu przykrych i drażniących stosunków politycznych, niechętnie dziś czerpiemy przykłady i źródła z literatury niemieckiej, dzieło jednak Gertrudy Bäumer i Heleny Lange, dopełnione niejako książką Lili Braun, opracowane jest tak wyczerpująco, posiada tak rzetelną naukową wartość, nadto odnosi się do kwestyi, tak żywo „Bluszczy“ obchodzącej, że niepodobna zamilczeć o niem.

Autorki umiały znakomicie zebrać i uporządkować olbrzymio bogaty materiał, rozrzucony w tysiącach broszur, oderwanych artykułów, ustaw, reklamacyi, i zwiazać go w jedną organiczną całość. Na najwyższe uznanie zasługują przytem: jasny, zrozumiały podział, i poważne, statystyczne dane.

Obok dwóch głównych autorek i wydawczyń, występuje pokaźna liczba współpracowniczek, z których każda opracowuje dział jakiś, najbardziej odpowiadający jej specjalnej wiedzy, przez co dzieło zostało jeszcze bardziej pogłębione i źródłowo wzbogacone.

Całość podzieloną jest na cztery części. Pierwszy tom obejmuje historję rozwoju działalności kobiecej we wszystkich kulturalnych państwach. Część druga zajmuje się ruchem emancypacyjnym kobiet w kierunku socjal-

no-państwowym. Część trzecia poświęconą jest umysłowemu rozwojowi kobiety i kształceniu dziewcząt. Czwarta nareszcie, jest bardziej zastosowaną do kobiet niemieckich i stosunków miejscowych, nader obszernie traktuje o powołaniu kobiety, o jej uzdolnieniu, zdolnościach ekonomicznych, w końcu przechodzi do najpraktyczniejszej strony życia, posad, wynagrodzenia i t. p.

W pierwszym tomie znajdujemy nadzwyczajnie zajmujące zestawienie ogólnej kultury z rozwojem intelektualnego ruchu kobiecego. Łatwo chyba przyznać słusność Helenie Lange, gdy w doskonale napisanej przedmowie odzywa się w te słowa:

— Tym, którzy jeszcze uważają za stosowne pytać, czy wyższy rozwój umysłowy i szersza działalność kobiet mają rację bytu, dość przekonująco odpowie sam fakt, że w historii kulturalnego rozwoju państw, działalność kobiet bardzo poważną stanowi siłę. Dziś już nie potrzebują walką głośną a zaciętą zdobywać pola dla swej pracy i dążeń. Pola są zdobyte, więc panują: spokój i powaga, będące najwymowniejszym wyrazem godności człowieka.

Równie zajmującymi są dalej porównania różnych wytycznych punktów rozwoju ruchu kobiecego w poszczególnych państwach Europy. Podczas gdy na północy stowarzyszenia robotnic i czynny ich udział w życiu państwowym są zgoła nieznanymi, w Belgii i we Włoszech ruch kobiet pracujących w ścisłym zawsze pozostaje związku z socjalistycznym ruchem kraju. Na Węgrzech, w Szwajcaryi rozwój umysłowy stoi na pierwszym planie wszystkich dążeń emancypacji kobiecej. Natomiast w Anglii i w Ameryce, pragnienie zdobycia prawnych i politycznych swobód najsilniej się zaznacza. W Grecyi działalność kobiet ogranicza się prawie wyłącznie na celach filantropijnych, w Hiszpanii pierwsze publiczne zgromadzenie kobiet wywołała ruchliwa propaganda ligi pokoju.

Wybornie napisane studjum o Hiszpanii i Portugalii dostarczyła dr. filozofii, Karolina Michaelis de Vasconillos; szkice czerpane z działalności kobiecej w Austrii, skreślone przez Maryę Hainisch, odznaczają się doskonałą charakterystyką i zwięzłością, zaś historia emancypacji kobiet we Francyi, pióra Anny Papritz, jest pracą wyczerpującą, bezstronną, tyle dobrego przyznającą kobietom francuskim, że powinny być za nią wdzięczne.

Rozumie się, iż życie kobiet niemieckich stoi na pierwszym planie w dziele Heleny Lange i Gertrudy Bäumer; ta ostatnia zaznacza jednak, że wogóle we wszystkich kulturalnych państwach Europy, kobieta, jako indywidualium w społeczeństwie, występuje od epoki Renesansu i dopiero Jan Jakób Rousseau pojęcie o indywidualności kobiety posunął na szersze tory. Aczkolwiek sam wyraża się jeszcze, że: „zadaniem kobiety jest podobać się mężczyźnie“ — był on jednak tak ostrym krytykiem społecznego ustroju, iż od jego czasu poczęto *teoretycznie* zajmować się kwestyą kobiecą.

Romantycy przyznali kobiecie przynajmniej prawo do wyzwolenia serca z pod ciasnego arzma, na jakie skazywało ją podrzędne jej

stanowisko w społeczeństwie i przyznać należy, że pierwsza ta emancypacja, emancypacja uczuć, stworzyła liczne typy, odznaczające się wielką szlachetnością.

Atoli subiektywne, uczuciem wypełnione życie owych kobiet, nie mogło oddziaływać na ogół niewieściego społeczeństwa i dopiero nowi ludzie, wyrosli po roku czterdziestym, z humanitarnymi ideałami w duszy, przełamali zapory, które z żelazną siłą powstrzymywały swobodę rozwoju kobiecej indywidualności.

Działalność kobiet w dziedzinach prac rozlicznych, tak fizycznej jak i umysłowej natury, często przy bardzo uciążliwych obowiązkach, rosła pożytecznie i bujnie, pole przez wieki leżące odłogiem, poczęło wydawać plon bogaty, aż wreszcie ostatni dziesiątek lat XIX stulecia wykazał rezultaty, które stanowisko kobiety, czy to w czynnym życiu publicznym, czy to na polu prac naukowych, albo fizycznych, utrwaliły niezachwianie.

Prawie jednocześnie z pracą pań: Lange i Bäumer, ukazała się książka pod tytułem: „Kwestya kobieca, jej rozwój i gospodarsko-ekonomiczna strona,“ przez Lily Braun. Ponieważ autorka zapatruje się na ową kwestyę z innego punktu widzenia a do tych samych dochodzi często rezultatów, książka jej działa, niby próba na przykład arytmetyczny.

Lily Braun bierze materalno-gospodarską stronę kwestyi za punkt wyjścia wszystkich dążeń kobiecych i choć nie można zgodzić się z autorką w wielu przez nią przeprowadzonych dowodzeniach, należy atoli przyznać jej pewne zasługi, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o wyświetlenie sprawy, dotyczącej robotniczej części niewieściej ludności.

W naszym języku istnieje tylko jedna praca, odpowiadająca wzmiankowanej w niniejszym, pobieżnym sprawozdaniu, praca równie źródłowa i wyczerpująca, podnosząca zasługi wszystkich, a zwłaszcza naszych pionerek, na polu uczciwie zrozumianej emancypacji i ukazująca kobietom szlachetne i zacne cele.

Pracą tą są odczyty p. Atanazego Bardzkiego, wygłoszone przed niedawnym czasem w Warszawie. Byłoby wielce do życzenia, żeby p. Bardzki pracę swą ogłosił drukiem i uprzyściplnił ją dla szerszego koła czytających.

Zofia Seidlerowa.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.



Włodzimierz Tetmajer: „Noce letnie.“ Kraków, nakładem księgarni Friedleina.

Słicznie wydana książeczka, ukazała się świeżo na półkach księgarskich. Autorem i ilustratorem zarazem jest Włodzimierz Tetmajer, brat poety, artysta-malarz, który już nieraz chwycił za pióro, by dać wyraz przekonaniom lub złożyć hołd zasłudze. Zwrócił na siebie uwagę już niejednokrotnie ciepłym słowem silnego przekonania, szczerego sądu i zapału, z jakim broni swojej sprawy. Jeżeli budzi tak gorące sympatyje u ogółu, je-

żeli wszyscy szanują jego zdanie, mimo, że niekiedy wydaje się ono krańcowem, to dowodzi porywającego wpływu szlachetnej myśli, bo też Tetmajer odzywa się jedynie pod żywym wrażeniem, gdy z pełni serca mówią usta.

W „Nocach letnich,“ obok rzeczy zupełnie nowych, po raz pierwszy drukowanych obecnie, znajdujemy powtórzenie kilku znanych z pism peryodycznych artykułów. Na wyróżnienie zasługują szkice, będące charakterystyką dwóch przed kilku laty zgasłych malarzy, mianowicie Witolda Pruszkowskiego i Juliusza Kossaka.

Nie można było istotnie cieplej i dosadniej odmalować w kilku słowach typów tych rdzenie naszych artystów, więc choćby dlatego warto odczytać te piękne „Noce letnie.“

„Niezwykły to był człowiek — pisze Tetmajer naprzykład o Pruszkowskim. — Genialny artysta, serdeczny przyjaciel i kolega, prawdziwy „Książę niezłomny.“ Uderzała w nim jakaś tęgość, jakaś siła i wola, niezwykła lotność umysłu. Te stopy ukraińskie, które go wypiaستowały, ukształtowały mu ten typ, urobiły duszę, na duszę prawdziwego poety. Epoka, w której żył i działał, była bogatą w ludzi niezwykłych, ona wydała Grottgera, Chełmońskiego, Pruszkowskiego, Gierymskich, Kossaka, nie mówiąc już o olbrzymie — Matejce.

„W Paryżu i Monachium, gdzie się kształcił, rozwinął Pruszkowski tę intelligencyę i nabył niesłychanie bujnej, wytwornej i misternej techniki, którą opanował do ostatnich granic możliwości, t. j. aż do tego stopnia, że stała mu się ona tak łatwym do wylania myśli sposobem, jak np. umiejętność stawiania liter dla pisarza. Tetmajer powiada, że gdyby na prawach metempsychozy można było przypuszczać, że dusza Słowackiego, twórcy „Anhellego,“ zamieszkała w Jacku Malczewskim, to dusza Słowackiego, twórcy „Balladyny“ i „Króla-Ducha,“ Pruszkowskiego sobie za czasowe obrała schronienie. Podziwiając bowiem „Rusalki,“ „Nimfy wodne,“ „Wiosnę,“ „Sielankę,“ czujący widz mimowoli przypomina sobie, że gdzieś kiedyś doznawał już tego, a przynajmniej podobnego wrażenia i uczucia. I rzecz prosta, bo kto zna „Balladynę“ Słowackiego, stanowczo ten sam rodzaj odczucia natury, to samo także poczucie fantastycznej poezji polskiego pejzażu, odnajdzie w Pruszkowskim. Dalej twierdzi, że po tym lesie, gdzie wrósł stary pokutujący zbójca w drzewo i obrósł mchem brodatym i zielonymi porosty, gdzie tajemniczy jakiś ksiądz święty przychodzi z głębi gąszczów zielonych, ze słowem pociechy dla grzesznika Madeja, po tym lesie śmiało mógłby przechadzać się Grabiec i stać się wierzbą, mogłyby błędzić Alina i Balladyna, poszukując malin.

Czarodziejski las Pruszkowskiego jest lasem, w którym jakieś rzewne, a trochę dzikie, zadumane jakieś i smętne bogi słowiańskie mieszkają. Coś takiego praslawiańskiego ma w pojęciu obrazek jego, nazwany „Sielanką.“ Nikt nie umiał upoetyzować takiego motywu malarskiego, jakim jest chłopak wiejski w sukmanie i dziewczyna w barwnym gorseciku, jak właśnie Pruszkowski.

Bo Pruszkowski z miłością malował w obrazach modela-chłopa, a w życiu z taką samą miłością do człowieka się zbliżał. Żył z ludem, mieszkał wśród wieśniaków. „Żył z nimi i cierpiał z nimi, nigdy mu kto szlachetny nie był obojętny“ i w tem tkwi tajemnica jego tężyzny moralnej i zacności serca, przepełnionego miłością. „Bo artysta prawdziwy—pisze Tetmajer—czuje za głęboko, aby miał inaczej działać, niż czuje, i innym być w obrazach, a innym w życiu. A jeśli kto był prawdziwym artystą, to chyba Pruszkowski! Zdanie jego ważono wielce, bo był to człowiek, który nawet gdy się uniósł, to nigdy przeciw osobistości, ale zawsze tylko zasadę zwalczał. Znane są jego zasługi, choćby tylko wspomnieć gorącą inicjatywę w postawieniu pomnika Grottgerowi. Dał impuls dziełu, którego dokonania nie doczekał już, niestety!

„Co do Kossaka, żywotny i do końca młody, stanowił on typ oryginalny i samodzielny, pełen poetycznej charakterystyki, stojąc na przejściu pomiędzy nową a starą sztuką.

„Jakiegokolwiek na rozwój sztuki wpływałyby prądy, jakiegokolwiek tworzyłyby się szkoły, powstawały kierunki, to zawsze treścią rzeczy jest talent i indywidualność, osobista odrębność artystów; czyni ich i to, co po nich narodowi zostanie puścizną, wyraz duszy narodu, który oni silniej od innych wypowiedzieć, wyraźniej w postać widzialną przyodziać umięją.

„I oto u nas, w jednym czasie, w połowie stulecia, wychodzi na jaw cały szereg wielkich malarzy, samodzielnych indywidualności, które składają się na typ polskiego malarstwa. Bez poprzedników, bez duchowych ojców, stają nam na widowni Matejko, Grottger, Kossak, Gierymski. Wszyscy oni nie tylko samym przedmiotem treści obrazów są już malarzami na wskrós polskimi, ale ich pojęcie, odczucie natury i uczucie wlane w dzieło, jest na wskrós polskiem. Jakaś połączona z zamaszystością czy nawet barbarzyńskim rozmachem melancholia, jakiś właściwy zupełnie „sentymencie“ jest wspólną ich cechą. Kossak, jak mówimy, stał na przelomie dawnej i nowej sztuki, nie zasklepił się w skorupie. Szczery artysta, kochał naturę i zawsze nią się odżywał. Artysta—przeto a przytem najszlachetniejszy typ polskiego szlachcica, ale takiego, który kocha i odczuwa chłopą i z nim społem żyje. Zapisał sobą całą ogromną kartę dziejów polskiej sztuki. O olbrzymiej technice jego mówić nie warto, bo technika, to abecadło sztuki. Technikę ma ten, pisze Tetmajer, który wszystko, co wyrazić pragnie, wyrazi tak, jak to w duszy jego się zbudziło, czyli zrobi tak, jak chce. „Nie sposób malowania, lecz pojęcie obrazu, jest dla nas rzeczą zajmującą. Nie technik tutaj, lecz artysta i dusza jego nas obchodzi. Szukając porównania w literaturze, Tetmajer Kossaka zestawia z Polem (Brandta zaś z Sienkiewiczem). Kossaka serce wezbrane miłością do wsi swojskiej i do swojskich typów; konia i chłopą, pana i żołnierza i zamorusane dziecko wiejskie w kwietnym ogródku, potrafił oddawać znakomicie. Kossak i Maxymilian Gierymski stworzyli typ polskich koni w malarstwie. Wielką też i ozdobną jest karta Juliusza Kossaka w księdze dziejów naszej

sztuki, która ubogą byłaby bez tego typu,—niezupelną bez tego malarza. Jest to jednak artysta nie tylko ceniony, ale i kochany w narodzie; wszyscy znają, wszyscy kochają obraz Kossaka, bo jeśli do kogo, to już do niego w zupełności zastosować można słowa poety, kończy Tetmajer, że:

„piękność chował dawnych szczerych rysów,
Napelniająca dom wonią narcysów.“

Jest też w książeczce tej rozdział znamienny, o ulubionej sprawie, mianowicie o wiejskim ludzie i zachowaniu się jego w czasie krakowskich uroczystości. Cieszy się Tetmajer dojrzewającą siłą nową, jej krzepkością, jednością, zdrowiem, świadomością celów i dróg, gotowością do wzięcia udziału w życiu publicznem. „Oświata“ oczywiście należy się chłopom w jaknajszerszej mierze, ale podawana umiejętnie, bez chęci przeistoczenia ludu. Np. dlaczego narzucać chłopu literacki język, kiedy jego pogardliwie zwana „gwara“ jest przepiękną mową, którą Kochanowski pisał? Dlaczego chceć wszczepiać mu nowe pojęcia: kazać gwałtem czuć tak, jak czuje dzisiejsze społeczeństwo? Dlaczego narzucać mu formy towarzyskie, uważane u nas za oznakę kultury, kiedy jego formy bywają często piękniejsze, a zawsze prostsze od t. zw. cywilizowanych? I z lubością roztacza przed czytelnikiem malarz-poeta, obyczaj wiejski, Wielkanoc na wsi! A jak to czyni barwnie i ciepło! Z jak szczerem upodobaniem wnika w szczegóły, będące symbolami wewnętrznych nastrojów i pamiątek. Do tych pamiątek, do wspomnień zwraca się poeta najchętniej. Do tej „Świętej nocy“, matki życia wszelakiego, bo pisze „W noc cichą, czarowną, wonną, bajeczną, miękną i tajną serca ludzkie.—Przebaczanie wchodzi w tajne zakomórki ludzkich sumień.—Przysłowie ludowe mówi nawet, że „Przyńdzie święta noc, to pogodzi ludzi moc.“—W taką noc jasną, snuje marzenia, obrazy, wpatruje się w dawne minione wspomnienia, odnajduje ludzi, którzy największy wpływ na życie jego wywarli, spowiada duszę swoją Bogu. Ideałami mu byli Ojciec, który lud miłował, i mistrz Matejko, który tak wysoko podniósł sztandar sztuki i tak święcie przeszedł przez życie. Idealistą, jak widzimy, jest Tetmajer przedewszystkiem, i dlatego, aczkolwiek realne sceny z życia maluje najczęściej, tyle poezji w jego płótnach; te łąny zboża, te drzewa, łąki, kwiaty, żyją i są jakby skąpane w słońcu i powietrzu czystem. Malowane są z miłością i dlatego tak prawdziwie.

„Noce letnie“ rozpoczyna staroświecki obrazek, a raczej urywek ze starego pamiętnika, coś w stylu Paska; napisane to z szlachecką fantazyą rycerską, z przejściem się epoką, dawnym animuszem, obyczajem i stylem. Towarzysz chorągwi pancernej opowiada swoje dzieje, jak go święta Bożego Narodzenia zaskoczyły zdala od rodziny i domu, w obozie; jak go szlachcic pewien wraz z przyjacielem i wiernym sługą, na wilią zaprosił do siebie, a miał „okrutnie gładką dziewczuchę, Anusię, która niebieskimi oczyma jak spojrziała, to ci owo spojrzenie przez pancerz przeszło w serce, gorzej kuli szwedzkiej.“ Szwedzi grasowali w okolicy właśnie i na dom szlachcica

napadli. Ledwo Anusię wierny sługa, Wawrek, ocalił,—ale to życiem swem okupił. Przyjaciele, którym obu serce się do cudzej dziewczyny rwało, — pobiegli bronić kraju przed szwedami, pochłonięci ogólną zawieruchą. Zostało im tylko wspomnienie spełnionego obowiązku.



Odkrycie zwłok królowej.



Wiadomem było z historyków, że Zofia, żona Władysława Jagiełły, księżniczka ruska, tak zwana królowa Sonka, pochowaną została w r. 1461 w kaplicy, którą sobie sama w katedrze na Wawelu zbudować kazała. Ale z grobu jej, opisywanego jeszcze w wizytach biskupich w XVII w., nie dochował się żaden ślad w kaplicy, zwanej kaplicą królowej Zofii, która około r. 1844 staraniem hr. Wąsowiczowej została odnowiona. Obecnie, gdy w czasie restauracji katedry przyszła kolej na tę kaplicę, postanowiono uczcić pamięć pierwotnej fundatorki pomnikiem grobowym. Przy badaniu grobów, których kilka znajduje się pod posadzką, natrafiono wreszcie na jeden, w którym przez uczyniony mały otwór w sklepieniu dojrzano w trumnie drewnianej, o wieku częściowo zapadniętem, koronę królewską. Nie mogło być wątpliwości, czyje szczątki się tu znajdują, gdyż nikt inny z osób panujących nie był w tem miejscu pochowany.

Z polecenia więc kapituły katedralnej krakowskiej przygotowano nową trumnę miedzianą i przed kilkoma dniami otwarto grób w obecności XX. kanonika Wądołnego i Tomasza Bukowskiego, architekta prof. Sławomira Odrzywolskiego oraz konserwatora d-ra Stanisława Tomkowicza. Grób, ze spoczywającą w nim na tragach żelaznych trumną drewnianą, został odfotografowany dla stwierdzenia, w jakim stanie go znaleziono.

Przeniesienie zwłok dokonane zostało w dniu 7-ym czerwca. O godzinie 9 rano zgromadzili się ks. biskup Anatol Nowak z członkami kapituły katedr., członkowie komitetu restauracji katedry, konserwator zabytków m. Krakowa, tudzież kilka osób, zaproszonych przez kapitułę. W ich obecności zdjęto pieczęcie z drzwi kaplicy, poczem na podłożonym płótnie wydobyto na wierzch trumnę nietkniętą z leżącymi w niej zwłokami. Prosta skrzynia drewniana, okazała się tak spróchniałą, że rozsypywała się za dotknięciem. Po usunięciu wieka spostrzeżono całun jedwabny wzorzysty, sutymi fałdami się układający, i widocznie od czasu pogrzebu nietknięty. Z głowy, spoczywającej na cegle, na której były szczątki jakoby poduszki jedwabnej, pozostała część czaszki górnej, czoła i kości policzkowej lewej. Na ciemieniu były włosy, splecione w warkoczyki. Kości i włosy otaczała korona miedziana w kształcie obręczy o liściach lilii, wyszywanych i wytłaczanych dość grubą robotą. Pod całunem znajdowała się suknia jedwabna z szerokimi rękawami, na piersiach zapinana pętlczkami na małe srebr-

ne guziki. Tkaniny były mocno zetłale. Pod niemi szkieletu właściwego już dopatrzeć się nie można było, kości uległy rozkładowi, i pozostał z nich biały proch. W okolicy twarzy znaleziono ułamek jednego zęba trzonowego. Zresztą trumna żadnych włożonych przedmiotów nie zawierała.

Obecny prof. Kazimierz Kostanecki w towarzystwie docenta Bochenka stwierdził, że kości należą do czaszki kobiecej. Pan Leonard Lepszy zbadał materiał korony i guziczeków. Korona, części czaszki, oraz włosy splecione, zostały na miejscu sfotografowane. Odrysowano też niektóre szczegóły i wzory tkanin, których parę próbek wzięto do zbiorów. Następnie prof. Sławomir Odrzywolski z największą ostrożnością przesunął resztę zwłok i tkanin do nowej trumny, gdzie także złożono kości czaszkowe i koronę, wogóle starając się o to, by szczątki leżały, o ile można tak samo, jak były znalezione. Ks. biskup Nowak z duchowieństwem odprawił modły i pokropił zwłoki. Trumnę zalutowaną i opatrzoną tabliczką z odpowiednim napisem wpuszczono do dawnego grobu, który został na nowo zasklepiiony.

Szczegółowy protokół z całej tej czynności złożony będzie w aktach kapituły katedralnej krakowskiej.

Kur. Pol.



LISTKI.

Wytrwanie rodzi wytrwałość.

—
Nie wierz wszystkiemu, co słyszysz,—nie mów wszystkiego, co wiesz.

—
Miej zawsze nadzieję, nigdy się nie lękaj.

—
Przeszłością należy gardzić (jeśli zła), przyszłością dojrzałe ocenić, teraźniejszość dobrze urządzić, gdyż wtedy tylko żyć spokojnie można.

—
Mądrość niech rządzi, pokój niech panuje, miłość niech kwitnie, praca niech działa, honor niech zdobi, wierność nagradza, wierność kieruje.

—
W wodzie możesz się sama przejrzyć, w winie ujrzysz serca innych.

—
Szlachetna kobieta może wiele zdziałać.

—
Zadowolenie jest wielką sztuką, rodzi ono szczęście.



Kronika działalności kobiecej.



— *Kursa wakacyjne w Krakowie.* Nieobojętną zapewne dla pragnących nauki będzie wiadomość, że w roku bieżącym, podobnie jak i w zeszłym, odbywać się będą w Krakowie kursa wakacyjne. Wykłady, przeznaczone dla słuchaczy przygodnych, wyczerpywać jednak mają przedmiot o tyle, aby dać pojęcie o jego całości i ułatwić dalszą, samodzielną w obranym kierunku pracę.

Program kursów zamieszczamy poniżej w nadziei, że tak wybór przedmiotów, jak i nazwiska prelegentów, zachęcą słuchaczki do korzystania ze sposobności, pozwalającej wstępu w szersze dziedziny myśli.

Wykładać zatem będą:

Prof. dr. J. Milewski: „O dobrobycie społeczeństw“— 4 godziny.

Dr. M. Estreicher: „O podziale społeczeństw na stany“— 10 godzin.

Prof. dr. B. Ulanowski: „Dzieje Unii litewsko-polskiej od XIV-go do XVI-go w.“— 4 godziny.

Prof. dr. W. Czermak: „Dzieje r. 1846-go“— 7 godzin.

Prof. dr. M. Straszewski: „Historia filozofii polskiej“— 8 godzin.

Dr. F. Kopera: „Zarys historii sztuki w Polsce“— 12 godzin.

Prof. Zdziechowski: „Idea mesyanistyczna w literaturze polskiej“— 5 godzin.

Prof. dr. J. Rozwadowski: „Historia języka polskiego“— 9 godzin.

Krzyżanowski: „Pojęcia polityczne w Polsce średniowiecznej“— 6 godzin.

Ogółem *godzin 65*, za które honorarium wynosi *tylko rubli 10*.

Dodać jeszcze muszę, że panie, utrzymujące stancje dla uczniów i studentów, czynią wszelkie możliwe ustępstwa, aby ułatwić przyjeźdnym pobyt w mieście, tak, że korzystanie z wykładów stanie się dostępnem nawet dla osób, posiadających bardzo szczupłe fundusze.

T. Prażmowska.

— Od czerwca do października roku bieżącego otwartą zostaje w Paryżu Wystawa pracy kobiet, obejmująca sztukę i działalność zawodową.

Wystawę podzielono na 8 grup, z których każda liczy sekcję 30.

Grupa I-sza. Kobieta w historii narodów.

Grupa II-ga. Kobieta w domu. (Młoda dziewczyna, żona, matka, wychowawczyni, gospodyni).

Grupa III-cia. Pracownica (po za obrębem domu).

Grupa IV-ta. Kobieta w przemyśle (w kornaczarstwie, tkactwie, krawiecczyźnie, hafciarstwie, kwiaciarstwie i t. d.).

Grupa V-ta. Kobieta w sztuce. (Malarstwo, rzeźba, sztuki stosowane).

Grupa VI. Kobieta w teatrze.

Grupa VII. Kobieta w nauce i w literaturze.

Grupa VIII. Kobieta w gospodarstwie rolnem.

Wystawę urządza Stowarzyszenie „Fédération féministe“ ze znacznym nakładem i źródłowym, poważnym opracowaniem. Dochód z wystawy przeznaczony jest na utworzenie stałej, nieustającej wystawy, któraby jednocześnie łączyła muzeum, biuro sprzedaży i szkołę.

Bliższych objaśnień udziela „Fédération féministe“ w Paryżu, przy ulicy Antoine Roucher Nr. 10,—albo pani Paulina Savari, przewodnicząca wystawie, mieszkająca przy ulicy Avenue Rapp Nr. 2.

— Na kongresie muzycznym w Paryżu, odbytym pod przewodnictwem kompozytora, Gustawa Charpentier, postanowionem zostało, że kobiety, przyjmowane do składu orkiestr teatralnych i filharmonicznych we Francji, otrzymają też same warunki, co ich kollegi mężczyźni i zaliczone zostaną w poczet członków oddzielnego do tej lub owej orkiestry, stowarzyszenia muzycznego.

— W Berlinie, w Victoria-Lyceum, pani J. Gratz, współpracowniczka wielu pism, poświęconych modzie, wygłosiła odczyt o artystycznej stronie kobiecych ubrań. Z wielką szczerością i rzadką bezstronnością prelegentka przyznawała, iż ze wszystkich kobiet, Niemki ubierają się najgorzej, że nie posiadają

w tym kierunku pomysłowości i smaku, że Niemka w ogóle nie umie dobrać odpowiedniego stroju ani do typu, ani do postaci, do koloru włosów, a nawet i do pory roku i stanowiska przez się zajmowanego. Pani Gratz potępiała rozpowszechniony w Niemczech zwyczaj kupowania tanich, gotowych ubrań, ponieważ takie szablonowe, na tuziny obliczone pomysły (do tego najczęściej chybione), ztracają wszelką indywidualność i wytwarzają nieznośny dla oka szablon. Dalej mówiła prelegentka o usiłowaniach wprowadzenia tak zwanego zreformowanego ubrania i głos artysty-malarza Schultza-Naumburga uważa w tej sprawie za najpoważniejszy.

Propaganda reformy ubrania w Berlinie ma głównie na celu oswobodzenie kobiet niemieckich od mody francuskiej, atoli usiłowania te są nazbyt trudną walką, tem więcej, że właśnie w ostatnich czasach moda francuska wzniosła się na prawdziwie artystyczne wyżyny. Miękkie linie spódnic, swoboda układu staników, różnorodność rękawów, powiewność materiałów, wszystko to odznacza się naturalnością i wdziękiem. Prelegentka ostrzegała gorąco przed chęcią wytworzenia w ubraniu zreformowanym jakiegoś typu, ni by charakterystycznie miejscowego, niemieckiego, albowiem zawczasu zaręczyć można, iż nie dorówna on w smaku pomysłom francuzkim i z pewnością nie zostanie przez kobiety innych narodowości przyswojony i uznany. Praktyczniej będzie, według zdania pani Gratz, przyswajać sobie z mody francuskiej to, co niezaprzeczenie jest ładne i możliwie praktyczne. Kobieta ze smakiem widzi w modzie tylko dozorczynię, nigdy zaś tyranke.

Rzadki zaiste brak szowinizmu, zwłaszcza w Niemce, przyzwyczajonej do innych prądów.

— W Peszcie otworzoną została nowa kasa pożyczkowa pod nazwą „Hasánk“ (Ojczyzna). Pomiędzy paragrafami ustawy owej Kassy, znajduje się jeden, opiewający, że kobiety mogą przystępować do współdziałania w czynnościach Kassy zupełnie samodzielnie, mężatki nie potrzebują uciekać się do asystencyi mężów. Znaczna liczba kobiet należy też do zarządu nowej instytucji. Hrabina Szápary jest członkiem czynnym dyrekcji, do komitetu zarządzającego należą panie: A. Szabó, I. Imrich, I. Elek i Olga Stugel.

— W Wiedniu odbyło się nowe zgromadzenie członków Stowarzyszenia, mającego na celu propagandę reformy ubrania niewieściego. Pani Elżbieta Semetz wygłosiła odczyt o nader ważnych skutkach, wypływających z reformy ubrania na cały ogólny ruch kobiecej działalności. Zdrowy duch życia i rozwijać się może tylko w zdrowym ciele. Kobiety oddane pracy przedewszystkiem zważać powinny na to, by swoboda ich ruchów nie była ubraniem krępowana, by niewygodne, nieodpowiednie ubrania nie przyczyniały się do zmęczenia, a co za tem idzie, do utrudnienia oddychania. Zgromadzenie zakłada sobie: utworzenie kursów anatomii przy fachowych szkołach krawieckich, wprowadzenie do szkół owych obowiązkowej gimnastyki i zachęcenie prawdziwych artystów do obmyślenia wzorów zreformowanego ubrania.

— W Oxfordzie, w St.-Hildas Hall, przez czas feryi letnich odbywać się będą dla kobiet wykłady literatury, historii i pedagogii. Wykłady pozostawać będą pod przewodnictwem pani Burch i dzielą się na dwie serye: 1-sza od dnia 2-go do 29-go lipca, 2-ga od 1-go do 28-go sierpnia.

Z. S.



Na półkach księgarskich.

— *Tadeusz Sierżputowski: Kartki z dziejów stosunków polsko-pruskich w XVI-em stuleciu.* Warszawa, Jan Fiszer, 1902.

Rozprawkę niniejszą poświęca autor uporządkowaniu dokumentów, dotyczących się stosunków polsko-pruskich w XVI-em stuleciu. Dokumenty te, zaczerpnięte przeważnie z archiwum królewskiego, zawierają szczegóły po większej części nieznane, nieopracowane dotychczas w języku polskim przez nikogo. Główny nacisk kładzie p. Sierżputowski na epokę pierwszego księcia sekularyzowanego państwa pruskiego — Albrechta, na jego stosunek do Polski, oraz do Polaków i Litwinów, poddanych pruskich. Przez całe swoje życie marzył Albrecht o osiągnięciu zupełnej niezależności i o uwolnieniu się od protektoratu polskiego. Wojna, zakończona upokarzającym aktem 10-go kwietnia 1525-go roku, nauczyła go, że tą drogą nie dopnie zamierzonego celu, postanowił więc chwycić się innego środka. Uznając, że byłoby bardzo wygodnie odegrać rolę protektora polskich protestantów i reformatorów, względem których królowie polscy trzymali się niezmiernie chwiejnej polityki, stara się on gromadzić około siebie w Królewcu uczonych polskich i litewskich, wydaje im znaczne subside z własnej kasy, zakłada w r. 1544 akademię królewską z językiem wykładowym polskim i litewskim, oraz ustanawia 24 stypendya, które z biegiem czasu musiały być zajęte wyłącznie przez Litwinów i Polaków. Akademia ta o kierunku wybitnie protestanckim pozostawała pod osobistym i bezpośrednim wpływem Albrechta i miała być, zgodnie z planami księcia, ochroną i rozsądkiem Luteranizmu wśród młodzieży polskiej. Tym sposobem zamierzał Albrecht pozyskać sprzymierzeńców w sferze protestanckiej inteligencji polskiej, z jej zaś pomocą rozluźnić, a z czasem zupełnie zerwać łańcuch zależności, wiążący Prusy z Polską. Po śmierci Albrechta te więzy zależności politycznej zacieśnione zostały na nowo i zdawało się, że wszystkie wysiłki księcia w celu ich osłabienia spęły na niczem. Tak jednak nie było. Stworzył on zasadę zjednywania sobie lub wprost kupowania stronników w obozie przeciwnym; trzymając się tej zasady, następcy Albrechta doprowadzili do upadku Polskę, swego dawniejszego pana.

— Od Komitetu budowy kościoła pod wezwaniem „Zbawiciela“ otrzymujemy następującą odezwę:

Szanowny Panie Redaktorze!

Roboty około budowy kościoła „Zbawiciela“, dzięki wczesnemu zniesieniu domu od ulicy Mokotowskiej, postąpiły o tyle, że dopełniono już brakujące części fundamentów, okolono cokołem z granitu i kamienia sztylowieckiego całą budowlę, obecnie zaś przystąpiono do ustawienia rusztowania do dalszych robót.

Komitet żywi niepłonną nadzieję wyprowadzenia w r. b. całkowitych murów budującej się Świątyni, a jeśli się da i nakrycia jej dachem.

Tymczasem stan kasy w obecnej dobie znajduje się w położeniu krytycznym, już to wskutek konieczności płacenia choć w części za zamówione i dostarczone materiały budowlane. Cegły zakontraktowano przeszło 1 1/2 miliona, a samego kamienia za 25,000 rubli.

Na te wydatki ofiary groszowe stanowczo nie wystarczą i jeśli przedsiębiorcy i dostawcy materiałów nie będą mogli czekać na swę należności, lub jeśli nie wpłyną poważniejsze ofiary — wypadnie pod koniec lipca wstrzymać roboty.

Wobec tego Komitet, za pośrednictwem Szanownego Pana Redaktora zwraca się z gorącą prośbą do publiczności warszawskiej, o poparcie jego usiłowań, przedewszystkiem zaś do mieszkanców dzielnicy, w której buduje się Świątynia, ponieważ na prędkiej budowie kościoła powinno im najbardziej zależeć.

Byłyby pożądane składki stałe przez czas budowy kościoła. W tym celu Komitet uprasza ludzi dobrej woli o łaskawe zadeklarowanie składek miesięcznych, kwartalnych lub rocznych, choćby najmniejszych.

Równocześnie Komitet zwraca się z prośbą do administracyi domów o zwrot rozesłanych w początku r. b. list do zebrania ofiar jednorazowych na budowę Kościoła. Listy te stanowią jedno z poważniejszych źródeł zasilenia funduszu budowy, a dotychczas około 2,000 list nie zostało zwróconych.

W nadziei, iż Szan Pan nie odmówi naszej prośbie co do umieszczenia powyższej odezwy w swem piśmie, pozostajemy z szacunkiem w imieniu Komitetu: *ks. J. Siemięc, ks. W. Seroczyński, H. Driewulski.*

Konkursy.

Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości pp. artystów i rysowników, że niniejszem ogłasza konkurs na okładkę do teki, przeznaczonej dla premii, jakimi będą reprodukcje szeregu dzieł sztuki, które w latach następnych zostaną wydane członkom Towarzystwa sztuk pięknych.

Teka ma być takich wymiarów, ażeby mogła pomieścić reprodukcje wielkości 58×46 1/2, centymetrów.

Sposób wykonania projektu i materyał są dowolne.

Do konkursu kwalifikują się prace, które nigdy nie były wystawiane, ani reprodukowane.

Konkurs nie będzie jawny, czyli prace w miejsce podpisu winny być opatrzone godłem lub dewizą. Temi samymi znakami powinna być opatrzona koperta zapieczętowana, zawierająca deklarację z wyraźnym imieniem i nazwiskiem autora, oraz jego adresem. Prace wraz z kopertami nadsyłać należy do kancelaryi Towarzystwa — do dnia 15-go października r. b. Nadesłane po tym terminie prace nie będą uwzględnione.

Konkurs będzie rozstrzygnięty na posiedzeniu Komitetu, najbliższem po terminie wskazanym.

Okładka, uznana za najlepszą, będzie nagrodzona kwotą rubli 150 i stanie się własnością Towarzystwa. Wszakże Komitet zastrzeżenie sobie, iż projekt nagrodzony nie koniecznie ma być wykonany.

Nadesłane na konkurs prace będą umieszczone na Wystawie Towarzystwa bez otwierania odnośnych kopert, przyzem o kwalifikowaniu się lub nie kwalifikowaniu do wystawienia danych utworów decydować będzie Komitet.

W razie, gdyby ktoś z autorów nie zyczyl sobie, aby praca jego była wystawioną, winien zaznaczyć to w deklaracyi. Prace takie odesłane będą pod adresem wskazanym.

„Salon Artystyczny“ (Nowy-Świat, 27) ogłasza konkurs na obraz, do którego treść ma być zaczerpnięta z naszych legend, podań i obrzędów, z życia wiejskiego i miejskiego u nas. Format i wielkość obrazu dowolna, byleby jeden brzeg obrazu nie był mniejszy, niż 65 centymetrów. Sposób wykonania olejny, akwarella, gwaszem lub pastelą — w kolorach. Termin ostateczny nadsyłania obrazów 15-go września do godziny 8-ej wieczorem. Każdy obraz nadesłany na konkurs ma być podpisany znakiem lub dewizą, taką samą, jaka będzie na zapieczętowanej kopercie, zawierającej nazwisko autora. Koszt przesłania obrazu na konkurs ponosi „Salon Artystyczny“, o ile obraz będzie odpowiadał warunkom konkursu. Obrazy artystów zamiejscowych mogą być przesyłane bez ram, rami będą wykonane w cenie i w warunkach podanych przez autora obrazu i na jego koszt. Clo od ram przy obrazach przysyłanych z zagranicy, ponosi autor obrazu. Nagroda I-sza — rubli 200. Nagroda II-ga rubli 100, przyznana będzie przez imienne głosowanie artystów. Nagroda III-cia rubli 100, będzie wypłaconą za obraz, który zyska najwię-

cej głosów uznania od zwiedzającej publiczności. Wystawa trwać będzie sześć tygodni od daty otwarcia.

ODPOWIEDZI.

— *P. Skaryi.* — Na początku przyszłego kwartału rozpoczniemy drukować nadesłane nam odpowiedzi, więc i Szan. Pani bardzo zajmujący artykuł zostanie jak najrychlej pomieszczony. Tymczasem dziękujemy serdecznie za list.

SPROSTOWANIE.

Od p. Stanisława Mieczynskiego otrzymujemy list z następującem wyjaśnieniem:

„Jako jeden z najbliższych przyjaciół s. p. Adolfa Dygasińskiego i najdokładniej znający cały przebieg Jego choroby od chwili zawiezienia Go do Grodziska aż do skonu — upraszam Szanownego Pana Redaktora o sprostowanie w najbliższym numerze „Bluszcza“ faktycznego błędu, jaki popełniono w pośmiertnem wspomnieniu o nieboszczyku w № 23 im „Bluszcza“; upraszam w imię sprawiedliwości i prawdy.

„Mianowicie powiedziano tam (str. 259), że w Grodzisku „pomimo najtroskliwszej opieki d-ra Glińskiego, wegetował już tylko.“ Otóż kierownikiem i głównym lekarzem zakładu leczniczego jest nie dr Gliński, lecz dr Tokarski. On to właśnie przyjął do Swego Sanatorium przywiezionego przezemnie i przez córkę s. p. A. Dygasińskiego i przez czas choroby najstaranniejszą i najczulszą otaczał pieczołowitością, czem zasłużył sobie na największe uznanie i wdzięczność rodziny i przyjaciół nieboszczyka. Dr Gliński jest tylko pomocnikiem Dra Tokarskiego, — ale zaznaczam, że i d-rowi Glińskiemu najzupełniejsze za jego opiekę należy się uznanie.“

OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał przysły.

Zwracamy przytem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracyi „Bluszcza“ (Ś-to-Krzyżka, 11).

Treść numeru:

Ś. p. ks. biskup Alexander Bereśniewicz (portret). — Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Wiosna (wiersz), przez Bożymira. — Walka ze zbrodnią, odczyt Alexandra Mogilnickiego. — Luta, szkic do powieści, przez Gustawę Toporczańkę. — O pojedynku, przez J. T. — Ś. p. Adolf Dygasiński (portret). — Historia emancypacji i działalności kobiecej, przez Zofię Seidlerową. — Przegląd piśmienniczy. — Odkrycie zwłok królowej. — Listki. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Na półkach księgarskich. — Odezwa. — Konkursy. — Odpowiedzi. — Sprostowanie. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz piąty powieści R. Monlaur'a p. t. „Promień“, w przekładzie M. ...tz.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 30). — Przepisy kuchenne.

Tablicza krojów do n-rów 24-go i 25-go, z przyczyn niezależnych od redakcyi, dołączoną zostanie do numeru przyszłego.

— *Sprostowanie.* — Do artykułu p. t. „Przegląd mód“ w dodatku do numeru 23-go wkradła się pomyłka, zamiast: „suchy“ powinno być „cuhy“ (odzież góralska).

Na sezon wiosenny.

APARATY FOTOGRAFICZNE MOMENTALNE i PODRÓŻNE w wielkim wyborze. Poleca

P. LEBIEDZIŃSKI Warszawa, Krak.-Przedm. 65, Marszałkowska 99.

„ZORZA“

Pracownia Haftów Styłowych ORAZ SZTUKI STOSOWANEJ. WARSZAWA, WSPÓLNA № 45.

Dezynfekcja i czyszczenie pierzy, włosów materacowych. Ubrania po chorych etc. Marszałkowska 33.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem Teodory RACZKOWSKIEJ Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 i egzaminy dla nowowstępujących od d. 15 maja.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 maja.

Źródło Piękności Patent w Anglii



Crème CAZIMI METAMORPHOSA

przeciwko PIEGOM.

Jedyny dowód autentyczności podpis *CaZimi*

Bez tego podpisu falsyfikat. Sprzedaje się we wszystkich aptekach, składach aptecznych i perfumerjach.

w Domu Handlowym J. B. SEGALL w Wilnie i Odessie.

Wobec ukazania się falsyfikatów „Metamorphozy“ wynalazca CAZIMI złożył nowy rysunek na etykietach (ŹRÓDŁO PIĘKNOŚCI) (METAMORPHOSA)


Zatw. przez Dep. Handlu i Przemysłu za Nr. 4683, który będzie wydrukowany w ilustracjach i na etykietach.

Rodzice, pragnący kształcić swe córki w Krakowie, znajdą dla nich wszelką wygodę, opiekę macierzyńską i na żądanie lekcje muzyki, u pani **M. Przybylskiej**, wdowy po lekarzu, a zamieszkałej tamże przy ul. **Retoryka № 2. Kraków.**

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien „ROMANA“ Warszawa, Erywańska 14. Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie, (wydaje patenta cechowe). Wykonuje, suknie, szlafroki, bluzki, halki, matinki.

Marya Matuszewska Przełożona Pensji VI-kl. żeńskiej w Warszawie przy ulicy Leszno № 28 zawiadamia, iż egzaminy i zapisy uczennic na rok przyszły odbywają się od dnia 10 maja do 1 Lipca r. b.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

BOROXYL chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białość.

— **Cena flakonu 60 k.** —

Żądać wszędzie. Główna sprzedaż w aptece **F. ZAMENHOFA** Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo przedkwej i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i kluczem, pod tyt.

SAMOUCZEK Polsko-Francuski kurs I-szy kop. 1.20—kurs II-gi kop. 3.20. Gramatyka polsko-francuska kop. 1.20. Polsko-Ruski kurs I-szy k. 1.40, kurs II-gi kop. 1.80. Skład u autora, Warszawa, Złota № 6

Egzystująca od 1882 roku

PRACOWNIA I MAGAZYN

Wyrobow Złotych, Srebrnych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy Trębackiej № 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, kolczyki, bransolety, breloki, krzyżyki, łańcuszki damskie i męzkie, oraz srebro stolowe i fantazyjne.

Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące.

Znaczny wybór łańcuszków srebrnych do lasek.

CENY FABRYCZNE.

OBICIA oraz odnawianie lokali, TANIO! **STEFAN LOBER** PAPIEROWE MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

Album Sztuki Polskiej Cena w oprawie Rb. 12.

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16. PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

— Angelus — Orchestral „SYMPHONY” — 15

Pianino — „CROWN” — 15

Cenniki ilustrowane gratis. Telefon № 812.

132 Marszałkowska 132 przy rogu Świętokrzyskiej 32 Senatorska 32 od placu Bankowego **F. Świejkowski** załatwia: Pogrzeby, Ekshumacje Przewożenia zwłok z zagranicy, Cesarstwa i na odwrót. Trumny metalowe od rbl. 30, dębowe i drewniane po cenach niskich. Wieńce metalowe i Makarta w wielkim wyborze. UWAGA: Suknie gotowe, na obstalunek wykonywa się w 24 godziny. Kapelusze, Krepy, Woalki.

W każdej miejscowości, gdzie można będzie na wyrób masła zebrać 200,000 garnicy mleka w ciągu roku, średnio od 600 krów, o ile cena mleka będzie odpowiednią, nowootworzone ziemiańskie **Towarzystwo wywozu masła** postawi maślarnię i eksploatować ją będzie na własny rachunek. W celu więcej racjonalnego podziału zysków dostawcy mleka mogą zapisywać się na członków Towarzystwa. Towarzystwo może też przyjmować mleczarnie już istniejące, a właścicieli ich chętnie do grona swego zaliczy. Szczegółowe oferty uprasza się przysyłać pod adresem **K. JEŻEWSKI, Marszałkowska 79, w Warszawie.** Przyjmuje się masło do sprzedaży komisowej w kraju i zagranicą. Zaliczki wypłacane są w Warszawie.

KRYNICA

dom „POD WAWELEM“ na wzgórzu, naprzeciw łaźni borowinowych. Pokoje umeblowane z pościelą, usługą i całodziennym utrzymaniem.


Zeleszkiewicz i Kaczkowska.

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu. najlepszy przyjaciel żołądka.

Broszura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku, wysła się na żądanie.



Smak jego jest wymięniony. Compagnie du Vin Saint Raphaël VALENCE, DROME, FRANCE. Ostrzega się przeciw podrabianiu.